



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## KOSZTOWNE OSZCZĘDNOŚCI.

(Dalszy ciąg).

Nie ma dla matki przyjemniejszego widoku, dotyczącego higieny dzieci, jak siedzących ich kilkoro przy stole i spożywających z apetytem, bez kaprysów, porządnie, jedzenie zdrowe, proste, smaczne, które da im siłę do dalszego wzrostu i utrzyma te śliczne rumieńce na twarzach, które są warunkiem piękności dziecka, a probierzem rozsądku wychowawców. Dzieci powinny jeść potrawy zdrowe, w najlepszych gatunkach, przyrządzone czysto, świeżo, podane porządnie, na czas, w dobrze obmyślanych odstępach i powinny zawczasu być przyuczone do zachowania się przy jedzeniu spokojnego, przyzwoitego i ile się da, nawet estetycznego. Jedzenie, to jedna z czynności bardzo zwierzęcych w człowieku, trzeba więc wlać w nią jak najwięcej ludzkiej oglądy, zręczności, wykwintu, w zachowaniu się przy stole, a jak najmniej przywiązywania wagi do samych potraw, bo popaść łatwo w brzydkie i wybredne obżarstwo, przy obrzydliwym sposobie jedzenia. Tymczasem czynią się pod obu temi względami: higieny i estetyki, bardzo złe oszczędności. Zamiast mleka dobrego, daje się dzieciom zbierane, zamiast porządnego bełsztyku lub kotleta smarzonego, jakies tam sztuki mięsa, jakies w grubym cieście pierożki, kluski, kartofle w dużej ilości i mówi się: dziecko musi się „do syta napchać.“ Więc napycha się ten żołądek byle czem, a dodaje się do tego części po silniejszych w ilości zbyt małej, aby wystarczyła na odżywianie organizmu. Apetyt się zaspoko-

koji, ale od tych kartofli, dawanych przedwcześnie i za dużo, od tego świeżego chleba i ciepłych jeszcze bułek, od tych kluseczek i leniwych i nieleniwych pierogów dziecko dostaje, jeżeli już nie przykrych przypadłości w trawieniu, to skłonności do skrofulów, a jeśli je ma już dziedzicznie, to się rozwijają szybko i groźnie. Oszczędność na pożywieniu dzieci zaczyna się nieraz od urodzenia i ma skutki opłakane. Jeśli matka sama nie może należycie dobrze wykarmić, niechże mu weźmie wyborną mamkę i zrezygnuje się na cierpliwe znoszenie w domu osoby, która zazwyczaj korzystając ze swej ogromnej ważności, skłonną bywa do nadużywania dobroci i hojności chlebowców. Tymczasem jednak, aby nie brać kosztownej karmicielki i nie mieć z nią w domu zachodów, rodzice decydują się na barbarzyński sposób wykarmiania dziecka sztucznie sterylizowanym mlekiem, lub matka sama trochę go tam żywi, a dokarmia zwyczajnym mlekiem i przedwcześnie dawanym rosołem. Takie biedactwo walczy nieraz z głodem, budzi się, krzyczy i w końcu przyjmuje pokarm ale z niechęcią, bo instynktownie odczuwa jego nieprawidłowość.

Poza obrębem wszelkiego wyrozumienia, niżej wszelkiej krytyki moralnej stoją te kobiety, które same karmić *nie chcą*, dla jakiegokolwiek bądź powodu zewnętrznego prócz zdrowia, bo wszystkie te przeszkody są światowe tylko i nie pierwszorzędne, gdy o wypielęgnowanie niemowlęcia chodzi. A jak żyje niemowlę, takim później jest dziecko. Patrzcie na te dzieci białe, zamałe na swój wiek, za wątłe, żółte, z lekkim snem, nerwowe, cierpiące wiecznie na żołądek i bez apetytu, to są dzieci, które wykarmiono tak zwaną „flaszeczką!“ Matka karmić nie mogła lub nie chciała, mamki brać nie chciało „przez oszczędność,“ a małeństwo wegetuje sobie licho, z trudem się przebija przez dziecinne latka i młodość dla niego, to cel daleki i bardzo niepewny, a w każdym razie okres, który

przebywać będzie z trudnością. Oto najpierwsza krzywda, którą dziecku wyrządza złe zrozumienie ekonomia rodzinna i gospodarska. Dajcie niemowlętom pić ze zdrowych, pełnych, życiodajnych piersi przyrody, która umie obmyśleć i stopniować sama w sobie pożywienie dla małego człowieka i bez waszej pomocy da mu z biegiem czasu na tej ważnej mleczej drodze to wszystko, czego wy nigdy mu nie dacie żadną sterylizacją, żadnym rosołem, tapioką, mączką Nestla, bo to wszystko wobec potrzeb organizmu dziecka jest tylko złudzenie i okłamywanie własnego skąpstwa. Rodzice się lękają złej mamki, żeby dziecko fizycznie lub moralnie nie przejęło czegoś szkodliwego. Na to jest rada wyborna i jedyna: niech mu dadzą dobrą mamkę. Jest to sprawa tak wielkiej wagi, że oboje rodzice powinni pilnie, przezornie i z zupełną hojnością o tem myśleć i to na czas, nie wtedy, kiedy już gwałt, ale naprzód, bo tak każe sumienie, rozsądek i obowiązek, pomijam już, że tego pragnie miłość.

Wpływ zdrowia fizycznego karmicielki jest bardzo ważnym, jej zaś oddziaływanie moralne nie jest ani tak dowiedzionem, ani tak potężnym jak to sobie rodzice czasem wyobrażają. Owa szkaradna „flaszeczka“ ze szkła i gutaperki złożona, więcej złego dziecka nauczy, bo go irytuje od niemowlęctwa, forsuje mu usta, daje mu pokarm w niejednostajnej temperaturze, a często, przy niedbalstwie matki, skwaśniały i wprost trujący. Gdyby wychowanie naszych dziewcząt było inne niż jest, gdyby mniej było szumnych pozorów nauki, różnych specjalizacji wiedzy, różnych geologii, antropologii, biologii, etc., a więcej gimnastyki, nauki pływania, zręczności i ćwiczenia na wolnym powietrzu, byłoby mniej anemicznych podlotków, blednicowych panien, a za to więcej potem karmiących matek. Kwestya to tak głęboka, tak szeroka, że tylko nawiasowo wspomnieć o niej tutaj można.



Dzieci już jedzą same, dobry mają apetyt, „zjedzą wszystko co im się da,“ więc im się też daje „wszystko,“ byle niedrogo kosztowało; ciągle te kartofle, groch, kluski, zacierki, ciągle mączne potrawy; dzieci tyją, niby pyzate, a blade z podkrążonymi oczami? Matka się dziwi—dla czego? Mniej tych potraw „zapychających“ głód, a przy drobniejszej ich części, więcej dobrego mięsa, więcej jarzyn, jarzyn koniecznie, dużo owocu i *porządny rozkład jedzenia*. O jednej i tej samej godzinie, zawsze, codzień, systematycznie, śniadanie, obiad (wszesny, około 1-ej, nie o 6 lub 8 wieczorem, bo to dla dzieci jest wprost szkodliwym), podwieczorek i kolacja wczesna, lekka, nie obciążająca żołądka na noc, to są warunki niezbędne do zdrowego odżywiania młodzieży. Oszczędność na jedzeniu działwy to po prostu — grzech. Patrzmy, ile się to jaśkółki nalatają, natrudzą, naszukają, nim przyniosą swym pisklątom *takie* owady i odrobiny pożywienia, jakie właśnie tym nieopierzalym potomkom są potrzebne. Patrzmy, jak to kura dogłębia swego złotego drobiazgu, jak im rozgrzebuje, podsuwa, przygotowuje najlepsze ziarneczka, kawałeczki, okruszyny, a sama nie tknie, póki się one nie najedzą; patrzmy jak lew, król pustyni, i tygrys, bandyta dżungli, niosą swój łup myśliwski do głębi kniei i rzucają dzieciom swe trofea z walki, a nie żalowali odwagi, nie unikali trudu i wybierali dla nich—co najlepsze! A my oszczędzamy! Tak nam żal zapłacić nieco drożej za szpinaak, kalafiory, młodą marchewkę, jabłka, poziomki, pomarańcze, za mleko prosto od krowy, za kakao, za to lepsze jedzenie ludzkiego drobiazgu, który przecie musi sobie wyrobić kości, mięśnie, krew, rosnać w górę ciałem i duchem, jeśli ma być normalnym, tęgim człowiekiem, a nie schyłkowcem z katarom żołądka, z lasecznikami w piersiach, ze zbożeniami w mózgu i z pesymizmem przedwczesnym w ospalej duszy. O wy, panie oszczędne, nie chodźcie tak często do teatru, na rauty, wizyty nie noście jedwabnych halek i kosztownych wachlarzy, nie przepłacajcie fryzjerów i modniarok, nie dajcie się okpiwać kucharkom i wyprowadzać w pole służbie, nie dajcie się ciągnąć na byle jaką zabawę i przedstawienie, a dzieci wasze będą miały jarzynę, mięso i owoc, będą miały wesołe oczy i ponsowe usta, a śmiech ich i gorąca żywość świadectwem będą wobec społeczeństwa ich rozwijającej się wiosennie duszy w zdrowem cieple i waszej dojrzałości charakteru, umiejaczej obejmować cele dalsze i ważniejsze niż parę rubli miesięcznie odłożonych do szuflady — niby dla oszczędności. W szeregu uczynków miłosiernych stoi, że trzeba „głodnego nakarmić,“ a nie „napchać“ go byle czem; więc jeżeli dla obcych bliźnich mamy mieć to gościnne uczucie, aby go nie zbywać lichym datkiem, to z jakąż obowiązkową sumiennością powinniśmy wołać do stołu domowego tę małą rodzoną czeladkę, która tak unie zjada „wszystko,“ taka jest pewna, że to „dobre“ i tak umie serdecznie prosić i za to jadło dziękować! Ten chłopak rumiany i tak pójdzie kiedyś w świat, może na studencką biedę, na restauracyjne jedzenie, na obywanie się bez obiadu a kupowanie książek, a ta dziewczynka, która świegoce jak ptak w swoim gnieździe, powędruje też za jaką pracą do obcego domu, gdzie będzie musiała jeść co jej dadzą, albo pójdzie za losem swoim, lepszym czy gorszym, ale nikt już tak o niej pamiętać nie będzie, jak matka, składająca w jej duszę i w jej zdrowie jak w skarbonkę przyszłości, grosz po groszu, codzień, nowy zadatek przyszłej siły, energii, równowagi, mocnych nerwów i odpornego serca.

Trzecim warunkiem zdrowia dzieci jest ich ubranie, które na pozór mniejszej jest wagi od jedzenia i spania, a jednakowoż warunkiem zdrowia stać się może. Dziwna rzecz, jak często spotykamy dzieci niehygienicznie „wystrojone,“ a jak rzadko rozsądnie i równocześnie ładnie ubrane. Uwieramy dzieci, nie dla dzieci, ale dla ludzi; muszą więc biedactwa znosić, z dużą dla siebie niewygodą, wszelkie ludzkie i istotnie nie-ludzkie fantazyje mody, dziwaczne kształty, dziwkie doборы kolorów i sporo niekonsekwencyj-

co do pory roku. Ubranie dziecka powinno być czyste, całe, wygodne, zastosowane do czasu i estetyczne. Ubranie czyste i całe wpływa do-brze na rozwijanie porządku i uwagi u dziecka; wygodne—daje mu zupełną swobodę ruchów, których nie powinny utrudniać ani za ciasne trzew-rych nie powinny utrudniać ani za ciasne trzew-rych i rękawiczki, ani obeisła nadto sukienka, zaszytwe kołnierzyki, zaciasne gumy gdziekol-wiek się w ubraniu znajduje, zanadto złożony sposób zrobienia i trudny do odpinania i do wkła-dania, słowem odzienie dziecka powinno być dla niego drugą skórą, tak dopasowaną wybornie do rozmiarów i poruszeń, aby ono nie wiedziało ni-gdy o tem, że ma na sobie ubranie. Latem po-winno dziecko mieć białiznę i sukienki właściwe na gorąco, na zimę stosowne do wilgoci i mrozu, a zawsze powinno wyglądać zgrabnie, zręcznie, po dziecinnemu i wesoło, a nie zestrojone ciasno i pretensjonalnie, zagorąco lub zachłodno, prze-brane staro jak małpeczka za to czem nie jest, jakoś wystrychnięte na dziwołazka, cudaka, w którym nikt nie rozróżni, czy to dziewczyna, czy chłopak. Tak być powinno, ale owa niby oszczędność zaczyna i tu gospodarować i bruź-dzić. Więc żeby zmniejszyć koszta, nie pierze się dla dzieci dostatecznie często, zadługo cho-dzą w jednej białiznie i sukienkach; żeby odzie-nia częściej nie odnawiać i nie sporządzać, dzie-cko ma poprzecierane łokcie, obszarpaną spódniczkę, brudny kołnierzyk, wytarte buciki i tak chodzi „po domu,“ ale do „ogrodu saskiego“ inaczej! Tam występuje w swej kosztownej tor-turze i bawić się nie może swobodnie, bo ma „giestkę“ zaciasną, owo nieszczęśliwe a takie brzydkie „vateau“ zadługie i wiecznie przyde-ptane; te szarfy, kokardy, dziewięć pelerynek przy paltociku, te gniazda wstążek, kwiatów i falban na kapeluszu, ten cały kostyum arleki-nowo brzydki—dokuczają dziecku, i albo znie-cierpliwione pozrzuca z siebie te szmaty i poło-ży na ławce, z kąd spadają częstokroć pod ławkę, albo też tak się przejmują ważnością swego ude-korowania, że przedwcześnie umysł swój skie-rowuje na lekkomyślne, marne, próżne drogi. Oszczędźmy na dziwnactwie, a dodajmy starania do czystości białizny, którą dzieci latem powin-ny bardzo często zmieniać; kupujmy dzieciom sukienki niedrogie a mocne, nie za dużo na raz, a częściej dać nową, bo przepocona sukienka, mianowicie wełniana, która się nie pierze, jest niezdrowa; nie przerabiamy wełnianych sukien zniszczonych ze starszych osób na dzieci, bo to bardzo niehygienicznie; sprawiamy sukienki, które można prać, to jest na odzienie bierzmy barchan, wełnę lub flanelę. Dla oszczędności nie dawajmy dzieciom zimą na ulicę sukienek bar-chanowych i może zaraz po praniu, bo to ogromnie zdradne, barchan chwyta zimno i wilgoć i jeśli do tego ubranko nie doschnięte, to dziecko wró-ci do domu z gotowym reumatyzmem. Na ulicę zimą najlepsza wełna, bo zabezpiecza od mrozu i wiatru. Niech dzieci mają w zimie ciepłe poń-czochy lub kamasze, obuwie wyborne, całe, pe-wne, czapki nie zagorące na wierzchu głowy, a zabezpieczające uszy od przeciągu silnego; latem niech chodzą w płótnie, perkalu, muslinie, w słomianych kapeluszkach lekkich i nie przecią-żonych ozdobami. Widzimy jednak często małe dziecko zszniałe od zimna, bo na mróz ma ten sam paltocik elegancki, który nosiło jesienią, na główce berecik osłaniający za ledwie sam czu-bek, a uszy i duża część głowy marznie i dzie-cko nabawia się kataru i bólu uszu i newralgi-cznego cierpienia w skroniach. Latem, żeby nie prać wiele, dzieci chodzą w wełnie i to ciemnej, pocą się, męczą i słabną z powodu zaciepłego ubrania. Ale dla dziecka ma być „praktycznie,“ i „oszczędne,“ więc ma służyć i zimą i latem. Takie oto paroletnie kwiaty na nóżkach ubiera się dla uniknięcia kosztów ciemno, szaro, bron-zowo, czarno nawet, kiedy dla dziecka powinno być wszystko jasne, wesołe, pogodne i żadne wspomnienie cienia ani chmury nie powinno pa-dać na jego czyste, skromne szatki.

Nie skąpmy dla dzieci prania, większego za-pasu białizny, a dawajmy sukienki tanie, ale jas-ne, właściwe na porę, nowe, proste a estetyczne. Stwórca, ten najlepszy gospodarz, urządził świat

z przedziwną równowagą oszczędności drobia-zgowej z jednej strony, a rozrzutności i hojności królewskiej z drugiej i deficytu jakoś nie bywa we wszechświecie, wszystko krąży, żyje, prze-twarza się i świadczy o wzorowem gospodar-stwie swego potężnego Pana. Znajdziemy tam wzory dla naszych domowych gospodarstw; przy-kłady oszczędności czasu, siły, materii; spożytkowywania drobiazgow dla rzeczy dużej wagi, niemarnowania niczego, a obracania wszystkie-go ku *najważniejszemu* celowi bytu; przyjrzyjmy się tej przyrodzie, temu wspaniałemu gospodar-stwu: jakie tam wygodne gniazda do spania, ja-kie tam użycie wody dla czystości, jaki tam rozkład dnia, jaki dobór pożywienia, jaka pro-stota i zarazem wytworność w ubieraniu, odpo-wiadająca z bezwzględną ścisłością celowi, któ-remu służy. Stary niedźwiedź ma tam kudły szare na sobie, ale młody motyl, dziecię wiosny i światła, leci na skrzydłach z tężowego muśli-nu; zahartowany orzeł ma burkę z rudawych piór i twarde szpony, a gołąb ma symbolicznie śnieżną albę na sobie i na cichych skrzydłach znosi ludziom niezbędne w tem ciężkiem życiu Veni Creator... Żebyśmy to i my mogli zroz-umieć tę harmonię: między tem co się dzieła, a co się czynić powinno; żeby nie zdarzały się nam tak częste złudzenia, rozterki, zawody między dobrą lecz ślepą chęcią, a koniecznym i logi-cznym głównym celem, który zawsze w końcu zwycięża, i uwzględniony, nagradza sownie, a pokrzywdzony, daje słuszny odwet. Żebyśmy to zawsze nasze pomysły umieli w [praktyce przystroić w szaty możliwe, proste piękne, nie byłoby tyle dysonansów, niespodzianek i goryczy i kosztów w naszych gospodarstwach pedagogicz-nych, a dzieci nasze nie byłyby tem niewinnem medyum, o które się rozbijają: nasza ciasna ideolo-gia, powierzchowna próżność i bezwocne bo lekceważone doświadczenia.

Szczesna.

(Dokończenie nastąpi).

Piotr Głmielowski.

## Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

IX.

Ustalenie poglądów krytyki roman-tycznej.

Łagodny, spokojny i rozważny Brodziński nad dwoma głównie bolał objawami w rozwoju nowego kierunku: nad lekceważeniem rozsądku i smaku, oraz nad wybujałością pierwiastku uczuciowego. W rozprawie „O krytyce,“ wzię-wszy za dewizę dwuwiersz Goethego, że rozum-kowanie (*das Vernünfteln*) wygania poezję, ale rozum (*das Vernünftige*) jest z nią w zupełnej zgo-dzie, starał się historycznie udowodnić, że jeże-li prawidła i przepisy dobrego smaku wyciągnię-te z rozważania dzieł znakomitych, nie mogą utworzyć nowych talentów, to utrzymują przy-najmniej „czyste o poezji wyobrażenia“ i „dzia-lają odpornie przeciwko złemu.“ Prawidła takie nie powinny dopuszczać „mody, uprzedzeń i przywidzenia,“ lecz powinny być „oczywiste i stałe, jak prawidła logiki i moralności.“ Skre-śliwszy następnie pokrótce dzieje przemiany po-jęć estetycznych głównie w Niemczech i w Pol-sce; wskazawszy, że u nas krytyka znajdowała się przez czas długi w stanie dzieciństwa, przy-znaje, że za jego czasów „mimo nadużycia no-wych wyobrażeń, co z początku zawsze było mu-



si,“ literatura nasza „przybiera cechę powagi, bezstronnego sądu, godzenia mniemań, szanowania zbawiennych, zdobiących uczuć, które albo namiętności skazyły, albo rozum, zimny zawsze, gdy dumny, przytępił.“ Ale ten charakter piśmiennictwa zawichrzony został przez młodych krytyków, „niezrozumiałych i siebie nie rozumiejących metafizyków, unoszących się nad wszystkim, czego dobrze nie pojęli,“ co „ledwo dorwawszy różgi którego z niemieckich profesorów, zapędzają całą publiczność do jego szkoły, każą uczyć się metafizyki każdemu, kto chce sądzić o wartości ballady albo sonetu.“

Nie był Brodziński bezwarunkowym przeciwnikiem filozofii, zastosowanej do sztuki, ale uważał, że u nas grunt do takich zaciekań nie jest jeszcze należycie przygotowany. Badania filozoficzne sztuki były „rzeczą zbytową,“ następują wtenczas dopiero, gdy bliższe zadania filozofii są już rozjaśnione. „Estetyka — pisał — jest dotąd najtrudniejszą, najmniej ugruntowaną częścią filozofii. Niemożna więc tej naprzód części upowszechniać, która najmniej ma poważnego interesu i skutków. Dobrze jest w duchu filozoficznym rozbiierać utwór, który na to zasługuje, ale sprawiedliwie przyjęty zwyczaj i względność nie każą występować ze wszystkimi aparatami, które zwykły odstraszać. Filozof więc dostrzega w poezji tak jak w naturze, niż człowiek pospolity; lecz jak tamten nie jest filozofem dla samej poezji, tak temu nie potrzeba wprzód uczyć się filozofii, aby czuł poezję“

Brodziński miał słuszną utrzymując, że u nas nie były jeszcze umysły przygotowane do rozbiórów literackich na tle filozoficznym; dowiódł tego późniejszy rozwój naszej krytyki, która pomimo usiłowań Mochnackiego, bardzo mało korzystała z rozwoju estetyki filozoficznej; tak, że te dwie gałęzie umiejętności rosły niezależnie prawie od siebie. Sam zresztą Mochnacki, jak zobaczymy, nie przeprowadził ich zjednoczenia w głównym swem dziele krytycznym.

Druga rozprawa Brodzińskiego z r. 1830: „O egzaltacji i entuzjazmie,“ wymierzona była przeciwko *udanej*, naśladowanej wybujałości uczuć zarówno w życiu, jak w tworzeniu poetyckim, przeciwko coraz bardziej grasującemu bajronizmowi. Nie myślmy, iżby Brodziński, zalecając wszędzie rozsądek, nie znał słabych stron jego; owszem, nikt może z naszych pisarzy nie potrafił tak trafnie i tak dobrze wskazać wad jego jak i zalet; nie sądźmy, iżby prawdziwie wzniosłych uczuć nie cenił, owszem, szlachetna jego dusza otwarta była na przyjęcie wszystkiego, co wielkie; on powstawał tylko na podrażnienie entuzjastycznych uniesień, na zimne częstokroć zagorzalstwo w słowach bez odpowiedniego nastroju w sercu i bez gotowości na czyn poświęcenia. Taką sztuczną hodowlę gwałtownych uczuć widział Brodziński w naśladowcach Byrona: „Poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedząc jakie tajemnice i gorzko marzyć, szukać tego, co właśnie w pełniści mają. Niknie w nich poetyczna naiwność, wiosną życia szpecą nienaturalnie, ale od zarazy pożółkłym liściem jesiennym; miasto tkliwego udziału ze światem, który ich ściąga do siebie, kłóca się z nim, wyszukują starannie, aby tęsknić do czegoś, rozbiierają swoje uczucia i w przeciwieństwie z własną naturą poezję chcą znaleźć. Inni same dary przyrodzone marnują w nieładzie i rozrzutności.“

Ponieważ takie „genialne natury“ miały być wedle romantyków wolne od zwykłych przepisów moralności i dobrego smaku, Brodziński robi uwagę, że „poezja samej imaginacji i namiętności, bez wodzy rozumu, byłaby tylko gminem widowiskiem szaleństwa albo pijaństwa.“ Poeta powinien wznieść się na takie stanowisko, aby „nie tylko czujący, ale i myślący człowiek mógł z nim uczucia dzielić.“ Egzaltowanie młodzieży, „której sam wiek aż do zazdrości jest poetyczny,“ uważał „za nadużycie sztuki, za chwałę prędko przemijającą.“ Według niego, „zawsze w poezji to najwięcej zajmuje, co moralne zaspakaja uczucia“ Ztąd nie mógł być zwolennikiem „sztuki dla sztuki.“ Poezja „nie powinna służyć ani samolubnym rachubom, ani

próżności, ani panującym namiętnościom i narzucającym się opiniom,“ ale nie mogą być dla niej obojętne „najwznioślejsze starania i dążenia ludzi.“ „Zaden prawdziwy tragic, czy Eurypides czy Szekspir, nie przerażali serca napróżno, nie przerażali napróżno widokiem nieszczęść i walk człowieka, jak zwierząt dzikich i osobliwych, a tem mniej malując namiętności, do namiętności wzbudzali. Nie sądzi inaczej filozofia, ani prawdziwa poezja; ci tylko tak twierdzą, którzy filozofii nie rozumieją. Poezyi nie czują.“

Uwagi Brodzińskiego nie przypadły do smaku rozgorączkowanej młodzieży; rozprawa „O egzaltacji i entuzjazmie“ wywołała parę namiętnych krytyk, na które śpiewak „Wiesława“ wbrew swojemu zwyczajowi widział się zmuszonym odpowiedzieć, by fałszywie słów jego przeciwko entuzjazmowi nie tłumaczono. Z czasem dopiero, po uspokojeniu się umysłów, poglądy Brodzińskiego zwoła i po cichu wsiąkać zaczęły do krytyki i w ogóle umysłowości naszej; zwoła i po cichu utrwało się przekonanie, że choć nie genialny, był on pierwszym, prawdziwym krytykiem naszym, łączącym delikatne poczucie poetyczne nie tylko z rozsądkiem i dobrym smakiem, ale także z głębszym rozmysłem filozoficznym.

Inny był los dziełka Maurycego Mochnackiego „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym (Warszawa, 1830).“ Trafiło ono odrazu do przekonania młodych wielbicieli poezji; zdania w niem wypowiedziane stały się na długo ewangeliją naszej krytyki; powtarzane w recenzjach i podręcznikach historii literatury przeszły niejako na własność narodową. Dotyczy to zwłaszcza tylko określenia literatury i sądów o walce klasyków z romantykami: Mickiewiczem, Mickiewiczem, Bohdanem Zaleskim i Goszczyńskim; filozoficzna zaś strona pozostała martwą.

Mochnacki, zanim dał określenie literatury, jako „uznania się narodu w jestestwie swoim,“ czyli inaczej, po dzisiejszemu mówiąc, jako wyrazu samowiedzy narodowej, przeszedł rozległy krąg roztrząsań, na wzór niemieckich filozofów natury, o stopniowym budzeniu się świadomości w przyrodzie: poczynając od kamieni, a kończąc na człowieku. *Mika* reprezentuje w granicie i jest niejako hieroglificznym prorokiem działu roślin; a „feldspat uważaćby można w granicie jako przesłannika i hieroglificznego proroka państwa zwierząt“ i t. p. Mochnacki wierzył „w podziemną astrologię, w związku czaroksiężki, moralne i chemiczne, w powinowactwo żadną mocą nierozzerwane natury anorganicznej z organiczną, w związku i powinowactwa kamieni, metalów z istotami rozmyślającymi, a bardziej jeszcze dumającymi. Objawy „magnetyzmu zwierzęcego“ były dla niego nader pożądanymi dowodami tego związku, i protestował przeciwko tym, co gromiąc mistycyzm i zabobony, zacierali „wszystkie wrodzone zdolności pojmowania natury bez doświadczeń i sztucznych aparatów, toż rozkazywania jej najmocniejszym siłom samem chęciem, lub uskramiania takowych natchnieniem.“

Łatwo ztąd wywnioskować, że był on przeciwnikiem samej doświadczalnej wiedzy i ubolewał nad tem, iż umiejętnościami przyrodniczymi zajmują się wyłącznie praktycy i matematycy, rzadko kiedy wnikający w istotę rzeczy dla braku wykształcenia filozoficznego. Nie przeczył on korzyści, wynikających z doświadczeń praktycznych, lecz nie uznawał ich za środek zbudowania czyli raczej stworzenia nauki prawdziwej. Wszelka nauka prawdziwa wynikać ma jedynie z myśli ludzkiej; bo, jak powiada Mochnacki, „kto zna myśl swoją, zna to wszystko, co myślą myśleć i ogarnąć zdoła.“ Prawdziwa nauka, prawdziwa filozofia musi być tak samo twórczą jak poezja — i ztąd ściśle powinowactwo wiedzy i twórczości artystycznej. Braki naszej oświaty wywodził Mochnacki ztąd, że zarówno w estetyce jak i w nauce panował empiryzm, wiedza doświadczalna, zacieśniająca widnokrąg myśli, przywodząca pojęcia do stanu „skamieniałości“ Romantyzm w połączeniu z filozofią starał się przez wprowadzenie pierwiastku twórczego, przez wlanie w umysł nieprzeparowanej żądzę ruchu,

skamieniałość tę uprzętnąć, a wszędzie wywołać życie oryginalne, pierwotwórcze. Pierwsi Niemcy postrzegali, że „natura nie dla samych tylko farbierzów i garbarzów jest stworzona, ale także dla filozofów“ i wskazali, że człowiek tak tworzyć powinien, jak tworzy natura. U nas romantycy przyjęli tę prawdę i zastosowali do życia narodowego; oni to dopiero doprowadzili naród do uznania się w jestestwie swoim, do poznania i rozwinięcia sił sobie właściwych.

Otóż tylko ten ostatni wynik wywodów Mochnackiego przyjęto u nas powszechnie, ale cały szereg rozumowań o stopniowym dochodzeniu przyrody do refleksji pominięto, ponieważ wydawał się on zbyt hazardownym i niezbyt łatwym do pojęcia.

W uwagach o poszczególnych utworach poezji romantycznej, Mochnacki nie posługiwał się już prawie wcale terminologią filozoficzną; wziął z niej tylko — o ile mi wiadomo, on pierwszy u nas — rozróżnienie twórczości podmiotowej (subiektywnej) od przedmiotowej i na tem rozróżnieniu oparł „architektonikę idealną w systemie poetyckiej literatury polskiej.“ Oczywiście, rozróżnienie to przyjęło się jako bardzo dogodne w rozpatrywaniu rozmaitych właściwości twórczych i trwa do dziś dnia. Jest to jeden z najistotniejszych nabytków naszej krytyki w dobie romantyzmu. Ze szczegółów podnieść należy tę okoliczność, że Mochnacki najdzielniej i najskuteczniej się przyczynił do wykazania piękności „Maryi“ Malczewskiego i jej spopularyzowania.

W sposobie wypowiedzania sądów swoich o twórcach poetyckich był Mochnacki subiektywistą i indywidualistą. Jakkolwiek bowiem dużo mówił o „zasadach“ estetyki, w krytyce przecie nie się prawie wcale nie powoływał, kreślił tylko, jak sam parokrotnie zauważył, to tylko, co mu przy czytaniu utworów na myśl przychodziło, czyli inaczej mówiąc, wrażenia, wywołane przez dane dzieło i spostrzeżenia, których ono stało się powodem. Nie był on bezwzględny chwalcą wszystkiego, co wydał nasz romantyzm: samemu Mickiewiczowi robił zarzuty, mianowicie za „Konrada Wallenroda;“ wielił to, co go unosiło i co z dążeniami społeczno-narodowymi było zgodne; potępiał zaś to, co miało charakter egoistyczny, zbyt miękki, nie odpowiadający wzniosłemu nastrojowi. Względem poetów doby Stanisławowskiej okazał się niesprawiedliwym, odmawiając im nazwy narodowych; ze współczesnych sobie, nie romantyków, podniósł tylko Niemcewicza i Woronicza, rozważając Brodzińskiego tylko jako estetyka i krytyka, nie zaś jako poetę. Przyznać trzeba, że w sędzie o Brodzińskim nie dał się powodować małostkowym względem osobistym i postawił go wysoko, jako pierwszego u nas, co „zaczął mądrze, głęboko rozmyślać o poezji.“ Ta bezstronność Mochnackiego jest dowodem niepospolitej, szlachetnej jego duszy.

Jeżeli rzecz Mickiewicza o krytykach i recenzentach warszawskich była tryumfalnym ogłoszeniem rozpoczynającego się panowania romantyzmu, to dziełko Mochnackiego stało się jakby kartą konstytucyjną tego panowania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Warszawa cała jest w ruchu; o jedno tempo przyspieszone zostało jej życie gorączkowe.

Nie dziwota!

Zawitał Maj, Maj rozkoszny, a z nim pożądanie nowe napłynęły do serc ludzkich, nad nimi zaś góruje jedno, objawiające się w okrzyku:

Powietrza, powietrza!...



I to pragnienie powietrza jest przyczyną powiększenia się ruchu miejskiego, bo jak rój pszczelny do słońca, tak dają ku niemu ludziska, aby je chwycić czy to na ulicach, czy w ogrodach, czy za rogatkami miejskimi, czy na polu wyścigowym, dokąd także pociąga tłumy niezawodny w zawodzie—totalizator.

Tu i tam, w domach prywatnych, jakby na pożegnanie minionego już sezonu zimowego, odbyły się rauty, towarzystwo jednak nie w licznie zebrało się komplecie, a i ci, którzy przybyli, więcej na maruderów, niż na ludzi skłonnych do zabaw wyglądali. Teatrom nawet daje się uczuć to władztwo wiosny, jeno „Hrabina“ pociąga jak zawsze tłumy i zwycięsko dotąd panuje, opera zaś włoska nuży, Rozmaitości nie bawią, nawet tłuste farsy Teatru Małego, zbyt płaskie się stają, wszystko blednie, znika przed urokami, jakie Maj w koło siebie rozsiewa.

Oprócz tych wędrówek za miasto i do ogrodów, w mieście samem trwa ruch dziwny, jakies przeskakiwanie z chodnika na chodnik, zatrzymywanie się przed bramami kamienic, wbieganie do wnętrza i wybieganie, by to samo powtórzyć za chwilę przy następnej kamienicy lub na ulicy sąsiedniej.

Przyczyną tego dziwnego ruchu jest — poszukiwanie mieszkań.

Mieszkania! — to istna klęska dla potrzebujących gdzieś mieszkać. Człowiek pracy, obarczony rodziną, choćby się w dwóch pokojach mieścił, mając rubli tysiąc zarobku, *trzecią część* musi stracić na wynajęcie mieszkania, dwie trzecie odłożyć na wszystkie inne wydatki, do których należą: ubranie, pożywienie, wychowanie dzieci w domu i w szkołach, no i książka jakaś i jakiś dziennik, bez którego to przecie duchowego pokarmu obejść się nie można! O rozrywkach i odpoczynku nawet mowy już być nie może... Żyje się zdnia na dzień w trwodze, by móżdżem lokal zapłacić. Od dawien dawna oczekują tutaj przesilenia w sprawie dogodności mieszkań, ale to są bajeczki sobie. Wzrost Warszawy pod względem ludności jest tak szybki, że liczba budujących się domów nie odpowiada wcale temu zwiększaniu się. Właściciele więc korzystają, drą łyka—inaczej, kuja żelazo póki gorące. Są to niewygody, na które, radzi nie radzi, zgodzić się musimy. Cierpi na tem kieszeń, cierpi więcej zdrowie, mimo to, są rzeczy stokrót ważniejsze, na które każde zdrowe społeczeństwo uważać zwrócić powinno.

Ale—czy można mówić o zdrowiu tego społeczeństwa, gdy co krok zastraszają nas chorobliwe jego objawy? Nigdy może, jak teraz, pod maską religijności nie ukrywały się tak haniebne czyny. Szeptano o tem po cichu, ale jawnie obawiano się wystąpić. To też z radością przeczytaliśmy w „Niwie Polskiej“ artykuł ks. Charzewskiego p. t. „Niedźwiedzie przysługi.“

W artykule tym szanownego kapłana występują ci obłudnicy, którzy, według słów Zygmunta Krasieńskiego, powiadają: Chryste! Chryste! a nie mają w sercu Jego. W aluzji przezroczyściej gromi szanowny kapłan tych nicponiów, okrywających się płaszczkiem religijnym. Ale, że tych nicponiów coraz więcej się mnoży, że zło się rozprzestrzenia, powinna zdrowa opinia publiczna wystąpić czynnie i—odwracaniem się plecyma napiętnować tych wyrzutków społeczeństwa.

Pokotłowało się wszystko tak, że najopaczniejsze zapatrywania się, najsprzeczniejsze sądy żyją z sobą w zgodzie jak największej. Z tego obniżenia poziomu moralnego wynikać musiał i zanik opinii. Tolerujemy nieraz w pismach takie łajdactwa, które — a choćby lat temu trzydzieście — nie mogłyby z mroku na światło dzienne wynieść. Zmysł ogółu zastraszająco przytępiony został. Dziś niemal palcem na płamę czarną wskazać potrzeba i to jeszcze w jej czarność nie wierzymy. A cóż dopiero, gdy wskazać niemożna, gdy potrzeba widzieć samemu, samemu zrozumieć i odczuć!

U nas dużo projektów się roi na sezon letni. Jedną z bardzo zajmujących zabaw ma być zabawa urządzona w Czerwcu, nad którą obrady

odbyć się mają w d. 6 b. m. pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa wyścigów konnych, hr. Augusta Potockiego. Program zabawy bardzo urozmaicony, a przedewszystkiem nowy. Najważniejszą nowością jest, mający być zbudowany zamek średniowieczny, na którego dziedzińcu odbędzie się turniej rycerski. Koszta urządzania zabawy obliczono na sumę 12.000, ale ponieważ na placu pomieścić się może około 50.000 osób, a zabawę będzie można powtórzyć kilkakrotnie, jest więc nadzieja, że po odtrąceniu wydatków, zysk czysty wyniesie jeszcze kilkanaście tysięcy rubli. Podpisy już sięgają do 10.000, reszta zbierze się łatwo i — zostaniemy przeniesieni w czasy rycerskie. Będzie to wprawdzie walka Don Kiszota z wiatrakami, ale wrażeń nie zbraknie dla małodkrwistych ludzi dzisiejszego pokolenia.

Maj!

Najpiękniejszy to niby miesiąc w roku, „pięszczocho boży, kiedy ziemia z końca w koniec jak rozkoszy raj, śpiewu, woni, pieje, niesie wieniec z róż, rozrzewnienie leje do szczęśliwych dusz!“

Dziś nawet i Maj się zepsuł. Zielenięją wprawdzie drzewa, krzewy; ziola i trawy pną się na gwałt do słońca, ale od czasu do czasu wiatr dmuchnie i przypomni nam, że za wrotami jeszcze zima została, że nie tak łatwo z nią się rozstać.

Mimo to, z niechęcią człek w pokoju przebywa.

Siedziałem właśnie na werendzie, gdy rozbrzmiał w powietrzu poważny jęk dzwonu. Powoli wysunął się orszak żałobny, zaczerniały kapice księży i krzyż Chrystusowy, a za niemi ukazała się trumna na marach niesiona, a za nią karawan czterokonny, wieńcami osypany cały, a za karawanem nieprzeliczony tłum ludu różnego wieku, stanu, płci i wiary. To na spoczynek wieczny odchodził starzec ośmdziesięcioletni s. p. Jan Pankiewicz.

Oto pokrótce zebrane daty ważniejsze z jego życia:

Urodził się d. 22 Grudnia 1819 r. w Kopyłowie w gub. lubelskiej. Lata dzieciinne przepędził w domu rodzicielskim, z kąd w r. 1825 wstąpił do ówczesnej szkoły wydziałowej w Hrubieszowie, z której w r. 1829 przeszedł do szkoły wojewódzkiej, a następnie do gimnazjum w Lublinie. W r. 1836 udał się Pankiewicz na koszt rząd do uniwersytetu petersburskiego, który w r. 1840 ukończył jako kandydat nauk fizyczno-matematycznych. Następnie brał udział w wyprawie do brzegów morza Białego i oceanu Lodowatego pod przewodnictwem akademika K. Baera, w celuzbadania fauny i flory, oraz składu geologicznego tych okolic. Po odbyciu tej cztery miesiące trwającej podróży, Pankiewicz otrzymał nominację na nauczyciela matematyki w gimnazjum realnem w Warszawie. Od r. 1843 miał powierzony sobie wykład geometrii wykreślnej w Szkole sztuk pięknych, od roku zaś 1853 pełnił obowiązki członka komitetu egzaminacyjnego. W rok potem został inspektorem gimnazjum realnego, w r. 1862 dyrektorem. Po zwinięciu gimnazjum realnego, otrzymał nowy urząd w Szechrzeszynie, rektora gimnazjum, z delegacją do gimnazjum II-go w Warszawie. W r. 1863 zostaje rektorem gimnazjum III, następnie inspektorem, wreszcie w r. 1870 inspektorem I-go gimnazjum męskiego i progimnazjum żeńskiego. W r. 1873 otrzymuje dymisyę, jako spadły z etatu. We trzy lata potem s. p. Pankiewicz zakłada szkołę prywatną 4-klasową z kierunkiem klasycznym, którą następnie przekształca na 6-klasową z kierunkiem realnym. Na czele tej szkoły stoi do r. 1894, w którym to roku kierownictwo jej oddaje w ręce profesora Trejdosiewicza.

Oddany zawodowi swojemu z całym zamiłowaniem i znanstwem, nie miał czasu oddać się pracom literackim. Z prac tych zaznaczamy: w r. 1844 przełożył z niemieckiego „Chemię organiczną w zastosowaniu do zoofizjologii i patologii“ Liebiga, a w r. 1858 opracował do użytku szkolnego „Geometrię“ A. M. Legendra. Krom tego wiele artykułów z dziedziny matematyki

i nauk przyrodniczych zamieszczał w „Encyklopedyi Powszechnej“ Orgelbranda.

To są krótsze daty, mało same przez się mówiące o zasługach pedagogicznych nieboszczyka. A był on mistrzem w nauczaniu i w jednaniu sobie serc młodzieńczych. Dusza dziecka, można śmiało powiedzieć, stała przed nim otworem; mając więc ją przed oczyma niemal, wiedział jak z nią mu w takiej chwili postąpić należało. To też pięknie we wspomnieniu o s. p. Pankiewiczu powiada p. J. J. Boguski:

„Bacznego oka na całą *psyche* ucznia należało wymagać od każdego przełożonego szkoły. Nie dość jednak patrzeć, trzeba umieć patrzeć, trzeba widzieć i rozumieć dusze młode i nie mylić się w sądach o nich, trzeba być dobrym i wprawnym psychologiem praktycznym.“

Tę sztukę w najwyższym stopniu posiadał s. p. Jan Pankiewicz.

„Wystarczało mu zwrócić na krótką chwilę swe rozumne, czarne oczy na twarz młodzieńca, by odgadnąć co myśli, czem jest, czem być może i jakimi środkami wpłynąć na niego należało. I w tych spojrzeniach nieboszczyka na młode twarze tysięcy młodzieńców tkwiła lwia, największa część jego pracy, pracy olbrzymiej.“

Nie dziwimy się więc, że obdarzony tą iskrą Bożą, władał duszami jak chciał, a że chciał dobra rzucone przez niego ziarno wiedzy i cnót zmarnowane nie zostało, lecz bujny plon wydało. To też z ogromnem uszanowaniem i czcią odprowadzały tłumy ludzi martwe zwłoki na miejscospoczynek wiecznego; dawno nie widzieliśmy takiej powagi przy obchodzie żałobnym, takiej ciszy, która znamionowała żal, uznanie i ból rozstania się.

## Pierwszy motyl.

Stój! Ktoś ty jest na tym świecie?

W powietrzu jeszcze chłód,  
A ponad brzegiem  
Zmarzniętych wód,  
Smutnym szeregiem

Chwieją się krzewy suchym badylem,  
I żadne nie zeszło kwiecie — —  
Kto jesteś?

Jestem Motylem..

Stój, niebezpiecznie nad wodą,  
Gdzie zamarznęta toń  
Wnet się otworzy,  
Zaleje błon

I traw drużynę młodą,  
A gdy się straszna burza rozsroży  
Przeciwno mocy wichrów strasydeł,  
Jaką masz broń?

Mam dwoje skrzydeł

Wróć! Jeszcze mróz jest na straży,  
A ciepły słońca blask  
Jeszcze nie stopił  
Śnieżystych mask  
Z uspiętej ziemi twarzy,  
Poranny deszczyk nie skropił  
Szronów zimnego okucia,

Więc czemuś zleciał w te strony?  
Cóż masz dla swojej obrony?

Prorocze wiosny przecucia.



Patrz! Jeszcze pusto dokoła,  
 Na polach, nad brzegiem wód  
 Jeszcze nie dźwięczą  
 Dzwoneczki trzód,  
 Ni pieśń pastuszków wesola,  
 W górach  
 Na skalnym szczycie  
 Północne wichry jęczą  
 I słońce trzymają w chmurach,  
 Nie lękasz się tej martwoty,  
 Motylu złoty?  
 Ja czuję w sobie—życiel

Więc leć. ach, leć, zbudzony,  
 Na zimny jeszcze świat,  
 I głos, że leci  
 Za tobą kwiat,  
 Że słońce już zaświeci.  
 I różom da korony,  
 Rozwinie łany ziół,  
 Tęskniących serc ukoj ból,  
 A o porannej zorzy—  
 Uśpiony jeszcze ul  
 Otworzy  
 I puści w świat rój złotych pszczoł.

Leć, chwil radosnych tyłu  
 Zwiastunem być,  
 Leć kochać, błyszczeć, żyć—  
 Pierwszy Motylu...

*Szczesna.*

Kazimierz Gliński.

# KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XIX.

Szataniaćko.

Upłynął tydzień jeden i drugi Grudowska nie widziała się z synem. Pan Hipolit wałęsał się po polach i lasach, wolał być sam z naturą, niż zbliżyć się do ścian domu, do którego nie ciągnęło go nic, lecz wszystko odpychało. W duchu jednak pogodził się z matką.

W tem sercu, na pozór kamiennem, żyło uczucie wielkie; nie dla niego wprawdzie to serce biło, lecz, bądź co bądź—nie było głazem, od którego ze wstrętem tylko odwrócić się można. Pan Hipolit nie rozwiązywał już zagadki tej nie-wzruszonej obojętności matczynej, skierowanej ku niemu; czuł, że krzywda mu się dzieje, lecz wyroków losu przemienić nie sposób było. Ob-serwacya świata mówiła mu, że, pomimo jakiejś siły rządzącej, rozumnej—tajemnic e *cos* psuje sprawiedliwość przedwieczną. Dla czego rodzi się życie, gdy nazajutrz w boleściach ginie? dla czego dobro ma zawsze szatę żalobną, gdy podłość nieraz nosi płaszcz purpurowy? dla czego płochy Henryk wypił wszystką miłość z serca matczynego, a jemu kropli jednej nie dano?

Nierozwiązana zagadka księgi świata—lecz trudno rzucać bluźnierstwo Bogu, gdyżśmy zaledwie jej tytułową kartę odczytali.

Dobną jest jednak filozofja, gdy się patrzy na męki cudze, a samemu nie ma się ran w piersi. Ból zawodu zawsze bólem pozostanie, i choć się

rozum z żelazną koniecznością pogodzi, nie zmniejszy przeto cierpienia.

Pan Hipolit cierpiał.

Nie rozumiał tylko, dla czego matka zamieszkała przy nim? Jeżeli lękała się samotności, bo Henryk większą część roku zagranicą przebywał—nie jest że tu równie samotną? chyba chciała oszczędzić wydatków Henrykowi? tak—oszczędzała go we wszystkim.

Lecz po tem, co zaszło, po zużyciu sił wszystkich na pozyskanie matczynego serca, po tym śmiechu, dzwoniącym mu wciąż w uszach—dach jeden nie może już im służyć za pokrycie. Wszelkie, jak dotąd, wygody, pani Karolina mieć będzie—tylko on się usunie, by jej nawet widokiem swoim nie drażnić.

Zaczął stawiać dom w Piaskach—wybór siedziby zostawi matce. Nie prędko to nastąpi, upłynie rok, drugi—ale nastąpić musi.

Żalby mu jednak było opuszczać Górek, gdzie obecność Sochackich jest potrzebną, a on się tak zżył z nimi,—lecz rozwiązanie tej trudności przyszłości zostawił, dziś korzystał z ich towarzyswa, pieścił dzieci i myślał o ich jutrze.

Nadszedł czas zbioru, urodzaj był świetny; ceny z powodu nieurodzajów w Ameryce i zachodniej Europie podniosły się,—złoto zaczęło już kapać jak się wyrażał Sochacki. Pan Hipolit mógł teraz pomyśleć o biedniejszych od siebie. Rozumna to była filantropja, bo skierowana ku sennym duszom, ku umysłom śpiącym.

Górki i Piaski stały się ziemią obiecaną—dla ludu.

Pani Karolina mało zwracała uwagi na to wszystko—zaniepokoił ją tylko dom w Piaskach.

Hipolit chce się usunąć—to utrudniało nadzór. Tymczasem lekarz—czas łagodził przykry stosunek między nią a synem.

Spotkali się raz w ogrodzie.

Nic nieznacząca zrazu rozmowa, skierowana zrzęcznie została na temat ożenienia się pana Hipolita.

— O tem nie myślę,—rzekł.

— Kto wie! czas łagodził smutki, — szepnęła Grudowska.

— Nie moje...

— Zapewne—ale...

— Nie mówmy o tem, mamol! dziś zauważyłem pierwszy włos siwy na głowie, a serce?...

Zatrzymał się.

— Byłbym śmieszny, przytulając do tej piersi puste jakiegokolwiek bądź kobiety—dodał po chwili.

Grudowska uważnie spojrziała na mówiącego.

— Więc stały celibat?

— Tak!

— Fortunę masz tak dużą...

— Po mojej śmierci weźmie ją Henryk.

Dziwny blask zaświecił w oczach pani Karoliny i zwrócił uwagę Hipolita.

Zauważyła to.

— Co tam mówić o śmierci! — rzekła.

Milczeli chwilę.

— Henryk nie pisze,—zaczęła,—prawdopodobnie dotąd w Paryżu bawi... Teofila pewnie spodziewa się... a ja nic nie wiem, widocznie chcą mi niespodziankę zrobić. Dla spodziewanego potomka Grudowskich już przygotowałam przyjęcie— — Maryanna nie dotknęła się do niczego—uszyła wszystko sama—czy uwierzysz? Ha! może Bóg pozwoli, że rozdrobiona fortuna waszego rodu choć w rękę Henrykowego syna znów się skupi...

Mówiła powoli, w dal jakąś patrząc przed siebie—

W umyśle pana Hipolita jakieś nowe światła błyskać zaczęły... Coraz widniej—widniej—widniej.

— Aa!

Obejrzał się—

Pani Karolina krokiem powolnym odchodziła ku domowi.

— Rozumiem! — szepnął. — Ten pot mojego czoła, rąk praca dla Henrykowego ma być syna— — — Rozumiem!...

Odtąd ta myśl, jak cień przesładowczy, zaczęła błąkać się na nim...

Rozpatrując jednak rzecz całą na zimno, dojrzał, że prędzej czy później, jeżeli nie Henryk, to potomkowie jego, muszą wejść w posiadane przez niego dziś prawa. Ożenić się—nie ożeni, fortuny nie sprzeda, obarczenie zaś jej nadmiernymi legatami równałoby się pozbyciu—a tego mu nie pozwalało uczynić sumienie obywatelskie. Zawisłi zresztą żadnej nie miał do brata—czuł się tylko już przed czasem wydziedziczony straszliwie...

I dziwnie jak mu ociążała nagle dłoń do pracy... Patrząc ze wzgórze na obrazy swych łańców, z tego wzgórze, z którego niegdyś szukał Hajczyniec i zachwycony pięknnością szat jesieni, mówił:

— To złoto pól, ten szmaragd lasów—to moje dziedzictwo!...

Teraz jakiś głos, niewiadomo z kąd przylatywał i szeptał:

— Nie twój!

Był więc pozbawiony wszystkiego: uczuć, marzeń, pragnień; los mu teraz wydiera i to dzieło rąk jego własnych.

Al dla czego on zrozumiał, nie rozumiane dotąd słowa matki?

Już nic się nie złamało—lecz coś się zważyło we wnętrzu jego istoty.

Nigdy jeszcze nie patrzył na ludzi okiem tak podejrzliwym, jak teraz patrzeć zaczął. Niezbyt się garnęli ku niemu sąsiedzi, gdy rozpoczął niepewną pracę koło zniszczonej roli, później dopiero wyciągnęły się ręce, pojawiły się ust korralowych uśmiechy, zabiegi panny Matyldy, pani Brygitty wyznania przyjaźni. Lecz gdy oni mówili:

— Chodź!..

Były jedne usta zimne, które szeptały w milczeniu niemem:

— Odejdź!

W krąg niego wił się jakiś taniec potworny, który zmąsły mu mieszał.

Jeżeli dawniej smutek niezmierny układał się na dnie jego duszy, dziś przygębienie okrutne siedlisko w niej obrało. Bacznym spostrzegacz mógł dostrzedz, że chudł nieznacznie, mizerniał, a włosy przepłatały wciąż nici srebrzyste.

Znajomi pana Hipolita, nie znając przyczyn tej melancholii, kładli ją na karb śmierci panny Matyldy. Ładne buziaki panien z sąsiedztwa przestały się już uśmiechać—małomówny Hipolit nużył już dzisiaj żadne uśmiechów i zabaw towarzystwo. To też natrętnym nie był, przyjeżdżał rzadko, bawił krótko, nie zapraszał nikogo do siebie i coraz rzadziej bywał zapraszany.

Pani Karolina dostrzegła tę zmianę w synu, pewną była, że przyjdzie chwila, w której zniechęcony do świata i ludzi, w pustkowiu się zamknie, a wtedy zamiary dojrzeją. Henryk już ręką pewną sięgnie po owoc jej trudów. Zaświeci gwiazda Grudowskich, otworzą się pałacowe podwoje, bogaty, dumny świat panów napelni dotąd mileżące komnaty.

To jej sen, jej marzenie!...

Stała u progu spełniających się już nadziei.

Nie oddalała się teraz od pana Hipolita, przeciwnie, dojrawszy go, kierowała swe kroki ku niemu. Rozmowa już tylko obracała się około obojętnych przedmiotów—mówili, jak ludzie zupełnie obcy, których wypadkowo los związał.

Grudowski rozleniwiał zupełnie. Cały ciężar gospodarstwa spadł teraz na barki Sochackiego. Na zapytanie w jakiejś gospodarskiej kwestyi, odpowiadał:

— Rób, jak chcesz, panie Sochacki... mnie wszystko jedno!

I zapadał w sen jakiś na jawie.

Rozbudzał się tylko, gdy przychodził do państwa Januarostwa. Brał dzieci na ręce, tulił, pieścił i coś im szeptał na ucho. Nie rozumiała działywa znaczenia tych tajemniczych słów, wiedziała tylko, że *ujek* o jakimś podarunku im mówił, dużej, dużej cacy.

— Co to tam pan, panie dziedzicu, szeptem na ucho moim wnuczętom, — spytała go raz Sochacka, gdy przyszedł do niej na wieczerzę. — Wciąż mi kładą w uszy, że *ujek* jakąś cacy obie-



cuje i pytają, co to ma być: baran, czy ułan na koniu?...

— Baran, dzieciaki, ot—taki duży baran,— uśmiechał się pan Hipolit.

— I będzie ksicał: mee?...

— Bee nawet,— odpowiedział Grudowski.

Dziatwa skakała, bijąc w rączyny drobne, a Władysław: „Bahan—huc!” wołał.

— Pozwolił mi pan niegdyś, panie dziedziu, być szczerą i otwartą... — mówiła Sochacka. — Korzystając więc z danego prawa, pytam, dla czego pan teraz rzadziej do nas zachodzi, a gdy zajdzie, to smutny jakiś, nieswój, że mi aż serce boli... Czy może my (z em narazili się panu?...

Pan Hipolit poruszył się.

— Państwo? mnie?

— Nic—nie takiego nie było? Bo jeżeli coś było—to ja nie wiem już jak odpokutuję, byleby tylko to zło naprawić... Ja pana tak kocham, jak... syna. Pan wie, że kochać więcej nie mogę.

Grudowski wziął rękę staruszki i zaczął do ust tulić — — —

— Dobra, droga moja pani—ja nigdy nie kłamałem i nigdy już nie skłamię. Nie rozstanie się z sobą—to moje słowo, jak mur trwarde. Byłem trochę niezdrów i dla tego tylko nie zachodziłem do was,—ale to przejdzie, przy was przejść musi, i dla tego obiecuję poprawę...

— Słowo, panie dziedziu?

— Uroczyste.

— Jak pan zbawienie kocha?

— Jak kocham pani wnuczęta...

— Niech i tak będzie,—zaśmiała się pani Sochacka...

— A to co? a to co?... Pan dziedziu, jak widzę, moją babę bałamucil — odezwał się nagle z za pleców pana Hipolita Sochacki. — Ja z domu, a pan tu... Eee!..

Basieczka zaczerwieniła się po uszy.

— Ot, pleciesz stary!

— Chcę żonę pańską rozkochać, ale się nie udaje,—rzekł Hipolit.

— Jak to się nie udaje?—zawołała Sochacka.

— Taak?—zaśmiał się pan January.

— Ty sowizdrzale! — odpowiedziała Basieczka, zakrywając dłonią usta mężowi.

Zaśmiano się i dobry humor panu Hipolitowi powrócił.

Czas na wszystko lekarstwo znajdzie. Grudowski oswoił się nawet i z oczekiwaniem wyczuciem go z dziedzictwa. Czasem mu czoło marszczyło się, czasem coś pierś uciskało, ale w takiej chwili udawał się do Sochackich i czuł się rzeświejszy i pogodzony z sobą. Zaczął znów wglądać w gospodarstwo, do czego zrazu przymuszał go niemal Sochacki—obrachowywał dochody, ażeby „dużego barana“ z czasem Stasiowi i Władysławowi zostawić. Majątek musi przejść do rąk Henryka, lecz kapitały w świat pójdą na cele użyteczności publicznej. W tych wszystkich jednak zamiarach zajmowały miejsce najpierwsze wnuczęta Sochackich. Chłopięta powyrastają, muszą skończyć nauki, stać się użytecznymi członkami społeczeństwa, kto wie—może chluba kraju. Gdy starość przyjdzie, otoczą go wdzięczni wychowawcy staraniem i czułością, by nie umierał samotnie.

Ta tylko jedyna, ostatnia już myśl samolubna nawiedziła pana Hipolita. O swojej przyszłości nie myślał, nie wierzył w pomyślny uśmiech losu.

Czasami, gdy się zdarzyło, że rozplakało się niebo rzęsiście, a on do Sochackich nie poszedł, o zmroku błądził po pustych pokojach swojego mieszkania, nawiedzony niewywołanymi wspomnieniami. Mignął cień jakiś, zabrzmiał dźwięk jakiś—cień się splątał w postać panny Matyldy, w dźwięku posłyszal echo swojego arcydzieła. Przypomniał dawny sen: grająca na obłoku wyciągała ręce ku niemu.

Lecz to mijalo szybko, jak sekundy i godziny, dni i miesiące, których nie liczył, a które zato- nęły w oceanie przeszłości.

Miało się ku jesieni; pierwsze dni Września były chłodne i wietrzne. Przemijający to był chłód, ale kwiaty, przedwczesnym zimnem owiane, więdnąć zaczęły, a obwisłe drzew listki skarżyły się na psotę wicherów swawolnych.

Pani Karolina siedziała na balkonie od wjazdu. Hipolit, wracając pieszo z pola, dochodził do połowy dziedzińca. Była godzina dziesiąta z rana.

W bramie ukazał się posłaniec z kolei, podjechał do stajni, zsiadł z konia i, widząc zatrzymującego się pana Hipolita, podszedł ku niemu.

— Co tam?

— Telegram.

Pani Karolina podniosła się z miejsca.

Grudowski rozwinął papier i przeczytał następujące wyrazy:

„Przyjeżdżamy dziś kuryerem—bądź na dworcu.

Henryk.“

— Henryk!—zawołała pani Karolina, — Henryk!... A—nakoniec, nakoniec przyjeżdżają! Pojadę z tobą, Hipolicie, pojedę — Albo nie!... Jedź ty po nich—ja do Grudowa... Muszę na progu mieszkania przywitać ich chlebem i solą.. Maryanno!—zawołała do siedzącej na ganku pokojówki—konie! konie! Niech zaraz zaprzęgają i zajeżdżają!

Rumieńce grały na jej twarzy, uśmiech poruszał usta...

— Pojedziesz, Hipolicie, po nich? — zwróciła się do syna.

— Pojadę i będę towarzyszył aż do Grudowa. Ale, ponieważ mama jedzie tam wcześniej, to proszę wydać rozporządzenie, by na godzinę szóstą przed wieczorem kareta i furgony pod rzeczy były już na dworcu kolejowym.

— Oczywiście, oczywiście!..

Z niebywałym pośpiechem wybierała się pani Karolina do siedziby Henryka. Nie zapomniała o niczem, co mogłoby posłużyć do przyjęcia tak drogiego gościa, a dla Tosi... wzięła pieluszki i kołderki, czepeczki i śliniaczki własną ręką uszyte.

Karoca zatoczyła się.

— Do Grudowa!—odezwała się pani, rzucając się w głąb aksamitną karety.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOTATKI Z HYGIENY.

### I.

Boski Plato twierdził, że piękna twarz jest najwięcej zajmującym zjawiskiem na świecie. Z twarzy poznajemy charakter, czytamy myśli, odgadujemy wzruszenia; w twarzy ludzkiej subtelny psycholog czyta jak w otwartej księdze.

Nietylko regularność rysów stanowi piękność; wyraz szlachetny, dobroć, prostota nadają najpospolitszej twarzy urok i wdzięk często większy niż w twarzach obdarzonych posagowemi rysami. Hygiena nie jest zdolną odmienić rysów, lecz może wykształcić wyraz, udoskonalić ogólny pozór, niejako opromienić zdrowym światłem twarz całą. Zeby mieć piękną twarz, potrzeba

mieć piękną duszę, to jest pewnik, o którym kobiety dbały o piękno nie powinny zapominać. Chciwość, zazdrość i wszelkie ujemne namiętności zostawiają swe ślady na twarzy, robią przedwczesne bruzdy i wyciskają swe nieestetyczne piętno. Pogoda umysłu, dobroć i zdrowie—są to najdoskonalsze źródła i warunki piękności. Cera jest najwrażliwszą na wszelkie zły wewnętrzne czynniki i należy ona do najmniej trwałych ozdób kobiecego oblicza. Hygienista może dać pewne rady dla zachowania delikatności, gładkości i czystości cery, ale będą to tylko półśrodki bez dłuższego skutku. Ogół cały wie już dzisiaj, że złe trawienie, dużo mięsa, alkoholu, ubranie ciasne szkodzą pięknej cerze. Młoda kobieta powinna mieć cerę czerstwą, białą czy śniadą, bez plam, bez pryszczy, bez zmarszczek. W jaki sposób można rozwiązać to zagadnienie, kusilo się niemało kobiet, lekarzy, przedsiębiorców aptecznych, a jednak niejedna z pań doszła do celu tylko starannością o zdrowie i powierzo-wność swoją, bez żadnych sztucznych żywiólów pomocniczych. Prawidłowe i czynne życie, to droga najprostsza nawet do piękności.

Pierwsze prawidło, o którym pamiętać się powinno, jest to, że skórę na twarzy trzeba tak hartować, jak i na całym ciele.

Atmosfera świeża, bez wiatru, jest dla niej najpomyślniejszą, należy jednak przyzwyczajać się i do brzydszej pogody, wiatr chłodny, nawet zimny, odświeża i zarumienia policzki.

Noszenie woalki jest pożyteczne w zimie i na wiosnę. Zmiany atmosfery oddziałują źle na cerę, ciepło czyni cerę wilgotną, miękką, skłon- ną do zmarszczek, słońce opala, pokrywa piegami, zbyt zimno czerwieni, robi skórę szorstką. Łatwo domyśleć się można, jakich starań potrze- ba dołożyć zależnie od pory roku. W lecie obmywanie twarzy wodą borną, a w zimie zmięk- czanie skóry gliceryną neutralną jest do zalece- nia niekiedy. Gliceryną pokrywa się twarz mok- ką, nie wytartą jeszcze po myciu. Codzienne uży- wanie gliceryny jest przeciwne piękności i tylko wypadki nadzwyczajne upoważniają do tego, jak: liszaje, szorstkość i pęknięcie skóry.

Hygiena codzienna wymaga mycia twarzy wodą zimną, najlepszą jest woda miękka; letnia woda otwierając pory, robi skórę wrażliwą na pył i pomaga formowaniu się węgrows.

Rozpocząć mycie twarzy potrzeba przysni- cem; kupuje się do tego zwykły irygator; po przysnicu myć twarz gąbką bardzo miękką. My- dla jak najmniej używać i tylko wtedy, jak twarz jest bardzo zapyłona po balu lub jeździe koleją. Zamiast mydła, raz na tydzień można myć twarz żółtkiem. Do zimnej wody, żeby ją zmiękczyć, dobrze jest dorzucić szczyptę otrąb lub mąki owsianej albo sody oczyszczonej. Cza- sami dla udelikatnienia dodanie parę kropel cy- tryny z gęstym sokiem buraków jest dobre i nie- szkodliwe w użyciu.

Wieczorem przed snem wycierać twarz z ku- rzu ręcznikiem suchym i starym i parę razy na tydzień wcierać krem lanolinowy; wcierać naj- lepiej kuleczkami waty aptecznej dopóty, aż wa- ta będzie zupełnie białą i czystą. Lanolina wzma- cnia oczy, a jednocześnie wcierać z góry na dół, robi się do pewnego stopnia masaż.

Nadzwyczaj trudno jest twarz uchronić od zmarszczek; osoby nerwowe, cierpiące na migre- ny, pracujące umysłowo, dostają zmarszczek przedwczesnych. Smutek, gniew, śmiech—to są nieprzyjaciele twarzy; żeby zapobiedz zmarsz- czkom, unikać potrzeba silnych wrażeń. Twarz ruchliwa przedwześnie się starzeje; grymas, skrzywienie, wszystko to pozostawia ślady; po- trzeba unikać zbyt częstego słońca, schudnięcia, słowem do pewnego stopnia prowadzić życie ro- śliny, co dla kobiet inteligentnych jest niepod- obieństwem i nudnym marnowaniem czasu. Ame- rykańskie „professional beauty“ mogą tylko tak bezmyślnie wieść życie.

Jednakże można uchronić twarz od przed- wczesnego zestarzenia staraniem, które nawet



wiele czasu nie wymaga, jak to: mycie twarzy zimną wodą, prysznic codzienny, masaż z wcieraniem lanoliny, masaż, jakiegoś powiedzieli wyżej, z góry nadół kuleczkami waty i masaż elektryczny, — wszystko to są środki zachowujące młodość.

Stosując przepisy ogólnej higieny, wpływa się na świeżość i młodość oczu.

Potrzeba sypiać w pokoju często przewietrzanym.

Unikać częstych zebrań, teatrów, późnego kładzenia się spać. Znany filozof Spencer cieszy się cudownym zdrowiem i młodym wyglądem, pomimo podeszłego wieku, dzięki wczesnemu kładzeniu się spać i wczesnemu wstawaniu; stary Lübbock, socjalista Liebknecht, są to młodzieńcy jeszcze pełni ognia, życia i zapału.

Kobietom koło lat 40, bardzo dbającym o twarz, pozwala się na używanie pewnych środków lekarskich odświeżających przeciwko zmarszczkom. Dla młodszych woda zimna i prysznic powinny wystarczyć.

Używanie wody rumiankowej w lekkich zaczerwienieniach skóry jest nader skuteczne; jest to jeden z amerykańskich środków „School of beauty.”

Potrzeba również dbać o stan żołądka. Na ciśnienie w dołku szklanka rumianku lub wody gorącej. Jedzenie lekkie, zdrowe, dużo owoców, rzadkie używanie serów, pasztetów, raków, rzeczy pieprzonych, zapobiega czerwienieniu się (bouffies de chaleur), pryszczom, pokrzywce, ostrości płci i t. d.

Wszelkie „Fettpudry“ muszą być zarzucone, gdyż zawierają w sobie bismut lub ołów, a przytem twarz pudrowana jest najwymowniejszym dowodem pretensji do piękności, tem większej, jeśli jej istotnie los nie udzielił. Nic piękniejszego nad naturalność i prawdę.

Wszystkie starania o utrzymanie piękności wchodzą w dziedzinę higieny i kobieta dbająca o nią, nie powinna o tem zapominać.

Tym paniom, które widzą ze smutkiem, że starość przychodzi, powiemy z Hippokratesem, że ciało jest tylko powłoką człowieka a nie jego istotą, a zresztą, każdy wiek może mieć typ piękny i estetyczny, bo każdy ma własny swój wyraz ducha, który go ożywiać powinien. Pustka tylko jest istotną ruiną.

Dr. Med. G. Majewska.

## UŚMIECHY ŻYCIA.

NOWELLA

przez

Aleksandrę Łapińską.

(Dokończenie).

II.

— Ludwisia, daj mi spokój z tem lekarstwem! To takie obrzydliwe! Ja nie chcę!

— Mój Adasiu złoty — prosiła siostra, podając mu łyżkę jakiegoś płynu — wypij! Ja ci dam sucharek polewany do przegryzienia!

Adaś wykrzywił się, odgrażał, że to już po raz ostatni ulega jej woli, ale rad nie rad pił lekarstwo i sucharkami je przegryzał.

Styczeń dobiegał końca. Mroźna i zawiejna zima dała się Adasiowi we znaki; dostał wprawdzie od Ludwisia na kolendę palto watowe, ale go ono nie ochroniło od zaziębienia.

Tego samego dnia, kiedy zaniósł do Akademii sztuk pięknych swego rzeźbionego Chrystusa

w Ogrójeu, rozchorował się. A nie w porę przyszła mu ta choroba, okropnie nie w porę!...

Malcz na święta Bożego Narodzenia zwyczajem swoim powędrował do Florencji, włóczył się tam po przeróżnych muzeach, kościołach, pałacach; naskupywał moc wielką modeli dla swoich uczniów i wrócił do nich w tak pysznym usposobieniu, taki podniecony widzianymi arcydziełami sztuki, że podczas lekcji usta mu się nie zamykały. Opowiadał dziwy o tych wspaniałych rzeźbach, co zdobią galerye w pałacu Uffizi, wnętrze katedry florenckiej i kościół świętego Lorenza; że serce Adasia zabiło namiętnem pożądaniem ujrzenia kiedy tych cudów, a głowa zawróciła mu się do reszty.

I w tej chwili, choć jeszcze wargi krzywiły mu się od goryczy lekarstwa, choć w piersiach oddech miał tak krótki, że słowa rwały mu się na ustach, on rękę Ludwisi uchwycił i patrząc na nią rozgorączkowanymi oczami, zapytał:

— Jak ty myślisz, spodoba im się mój Chrystus?

— O spodoba, napewno spodoba! Tyś go bardzo pięknie zrobił!

— Et, pięknie! Co ty tam wiesz o piękności! Mnie to się teraz nic nie podoba, odkąd Malcz z Florencji wrócił! Bo, wyobraź sobie, co on tam nie widział! Popiersie konającego Aleksandra Wielkiego!.. Ach, co on nie opowiadał o tej głowie, co on nie opowiadał!..

— Mój Adasiu — przerwała Ludwisia — doktor nie pozwolił ci przecie mówić; przestań, mój Kochany!

— Zaraz, zaraz. Tylko, że u mego Chrystusa, to w twarzy niema prawie cierpienia; u Aleksandra to, podobno, taka rozpacz straszliwa, takie gwałtowne bóle konania, że jak spojrzysz na to marmurowe oblicze, to staniesz jak zakłęta! Słyszysz, Ludwisiu!.. I on to widział!.. on przed tem stał!.. Malcz!.. Ja go zawsze ogromnie lubiłem, ale teraz to mi się zdaje, że on tam przed temi posągami jakieś święcenia wziął!.. A jak on gada, jak gada! Oczy mu się zaiskrzą, włosy nad czołem wichrem rozwieją, lata po sali, rękami macha i gada!.. Ech, co tam, wszystko nic, ale te drzwi spiżowe Lorenza, te drzwi!.. Boże miłosierny, żebym ja choć raz jeden w życiu je zobaczył! Bo to, wyobraź sobie Ludwisiu, w płaskorzeźbie perspektywa! Słyszałaś ty coś podobnego? W płaskorzeźbie perspektywa!..

I przy tych słowach Adaś na łóżku usiadł i dalejże siostrze tłómaczyć poszczególne części owych sławnych drzwi; aż go Ludwisia przemocą nieomal położyła na poduszki i kołdrę pod samą szyję nakryła.

Ale ten ferwor do opowiadania nie trwał długo; zapalenie płuc nie żartowało, rozpanoszyło się na dobre w wątłym organizmie chłopaka, złamało mu siły, gorączką paliło twarz, a w płucach kłuło przy każdym oddechu, niby strzałami ostremi.

Ludwisia krokiem nie odstępowała brata. Dla maszyny przyszła teraz świąteczna pora; stała sobie pod oknem, wraz z parasolem i szpulkami nakryta szarem płótnem, taka cicha, jakby turlać wcale nie umiała.

I babcia krócej siadywała w kościele, ledwie na pacierz poszła i wnet wracała, a gdy trzeba było po lekarstwo iść lub doktora sprowadzić, to tylko do kruchty kościelnej występowała, przeżegnała się wodą święconą i biegła dalej tak szybko, jakby jej lat ubyło. Ludwisia w tych posyłkach wyręczać jej nie mogła, bo staruszka przy chorym nie umiała sobie dać rady; kiedy go przyszło dźwignąć na poduszki lub lekarstwo kroplami nalać, to jej ręce drżały i lzy przysłaśniały oczy.

A choroba tymczasem przybierała rozmiary coraz groźniejsze.

Dnia jednego, kiedy babcia wróciła z lekarstwami, zastała Ludwisię, klęczącą przy łóżku brata. Adaś niedawno zasnął, ale go przedtem takie jakieś trwogi ogarniały, że chwyciwszy

rękę Ludwisi, obiema dłońmi do piersi ją sobie przycisnął i błagał, aby mu jej, broń Boże, nie wysunęła, gdy zaśnie.

Kłęczała tedy Ludwisia, pod dłonią swoją czuła nierówne bicie serca chorego, jego oddech krótki i gorączkowy, i lzy płynęły po jej bladej twarzy, a w piersiach rwały się łkania i cichły, nie dobiegłszy ust.

Drzwi uchylły się powoli, i babcia do pokoju weszła, postawiła przyniesione lekarstwa nastoliku i usiadła obok łóżka Adasia. Nie mówiła nic, oczy jej tylko co chwila biegły na twarz wnuczki i z wielką miłością patrzyły na tę dziecinę swoją.

Ludwisia uczuła widocznie wzrok babki, bo źrenice ku niej podniosła. Wtedy staruszka rękę wyciągnęła i pieszczotliwie zaczęła gładzić głowę dziewczynki.

Ają ogarnęło uczucie niewytłomaczonej trwogi.

— Czemu ją babka tak pieści? — myślała. Dawniej, gdy co dobrego zrobiła, to ją staruszka zawsze tak po głowie gładziła; ale teraz? — przyczyzny tej pieszczoty wytłomaczyć sobie nie umiała.

— Spotkałam Mielnikową w kościele — zaszeptwała babcia.

Ciemny rumieniec opłynął twarz Ludwisi, a staruszka pochyliła się nad nią i w obie dłonie głowę jej wzięwszy, całować zaczęła.

Tajemnica Ludwisi została zdradzona; matka pana Antosia opowiedziała, widać, wszystko babci, bo i czemuż takby ją całowała?

— Dziecino moja słodka, dziecino moja! — powtarzała staruszka coraz cichszym, bo w łkania zamienionym szeptem.

Długo Ludwisia słowa przemówić nie mogła. Babka wróciła do stołu, porozwijając przyniesione lekarstwa, wypróżnione już flaszki do kuchni wyniosła, a Ludwisia wciąż jeszcze oczy miała spuszczone i rumieńce na pochylonej twarzy.

Adaś się obudził.

Dziewczynka wnet opanowała wzruszenie, i, zda się, zapomniła o wszystkim. Dopiero przed wieczorem, kiedy grzała dla Adasia rosół w kuchence, a babcia stanęła obok niej z talerzem, Ludwisia, pochyliwszy się nad trzymanym w rękę garnuszkiem, zapytała półgłosem:

— Czy to już po ślubie, babciu?

— Już, dziecino.

W tej chwili ktoś do drzwi zastukał. Ludwisia pobiegła otworzyć i ujrzała na progu jednego z kolegów Adasia.

— Ze by pani wiedziała z czem ja tu przychodzę?! — zawołał młody chłopak radośnie. — Od jednego mego słowa Adaś wyzdrowieje!!

I zrzucawszy palto, pobiegł co tohu do łóżka chorego.

— Adalek! — zakrzyknął — twój Chrystus wziął stypendyum!

Adaś zbladł i oddech zaparł mu się w piersiach, a kolega z zarumienioną od mrozu i radości twarzą, opowiadać zaczął:

— Wyobraź sobie, dzisiaj zebrał się cały komitet, kazali nam przyniesione modele w sali poustawiać w najlepszym świetle, a potem Malcz ich wszystkich wprowadził. Po kolei oglądali nasze roboty, przy każdej zatrzymywali się, chwalili jedno, drugie ganili, jak to wiesz! Aż dopiero, kiedym twojego Chrystusa odsłonił, a postawiłem gotam wprost okna, oho! ja dobrze wiedziałem, że w tem miejscu wszystkie światła i cienie zagrają na największą piękność twojej rzeźbie! To ci wtedy Malcz narobił takiego rejuwachu, że strach!.. Krzyczał, że on jak żyje, takiego ucznia nie miał; że ty w przyszłości Thorwaldsenem będziesz, że jeżeli o nich wszystkich potomność choć słowem wspomni, to tylko dla tego, żeś ty był ich uczniem... Rozcierwienił się tak, że, myślałem, krew go zaleje, i nikomu do słowa przyjąć nie dał! „Na dwa lata dać mu stypendyum! — wołał i po swojemu rękami machał, a ja przez ten czas obowiązuję się zebrać dla niego fundusz na wyjazd za granicę!” Gadał, że buty zedrze, ale składki będzie dla ciebie zbie-



rał, koncerty urządził, wystawy i Bóg wie co! Mnie oko nigdy nie zawodzi! Ja wam powiadam że kiedyś ta płaskorzeźba na wagę złota będzie kupowana!"

— Widzisz, to wszystko gadał! A tamci głowami tylko kiwali i ani półsłowem mu nie zaprzeczyli! Słyszysz?! A teraz raz, dwa, trzy, powinieś wyzdrowieć! Malez tu do ciebie jutro przyleci!

Adaś był jak ogłuszony, czarne źrenice rozszerzyły mu się, wargi krwią napłynęły, a na blade policzki wystąpiły ogniste plamy. Nie mówił nic, tylko oddychał głęboko i wychudłymi palcami szarpał brzeg przescieradła, wyłożonego na kółdrze.

Ludwisia pochyliła się nad nim i włosy mu odgarnęła z czoła.

— I cóż, braciszku, takie szczęście! takie szczęście—powiedziała, całując go.

— Ja zobaczę Aleksandra konającego i drzwi Lorenza, zobaczę... zobaczę...—zaszeptał.

Kolega popatrzył na niego uważnie, i nagle przeleciało mu przez głowę:

— Ale on nie tęgi, oj nie tęgi...

A potem do Ludwisi się zwrócił i zapytał:

— A doktor przyjdzie dziś jeszcze?

— Mówił, że przyjdzie, był rano.

— Niech mi pani da adres, to ja polecę po niego!

Ludwisia spojrzała z przestrachem.

— Eh nie—odparł—ale zawsze lepiej! Ja bo ogromnie lubię chodzić...

I wzięwszy bilet doktora z rąk dziewczynki, wybiegł co tchu.

A Adaś tymczasem wyciągnął się na poduszkach, oczy wbił w róg stojącego opodal stołu i powtarzał: „zobaczę, zobaczę...” a kiedy Ludwisia usiadła przy nim, to on podniósł wzrok na jej twarz i zapytał:

— Zobaczą?

— Zobaczysz, Adasiu—odparła.

— I Aleksandra konającego i drzwi Lorenza... O, jak tam będzie pięknie...—szeptał coraz ciszej.

Babka zaczęła mu ręce rozcierać, bo mu sztywniały, Ludwisia osunęła się na kolana i ramię włożywszy pod poduszkę, głowę mu uniosła, a on oddychał coraz swobodniej i coraz głośniej. Ustami jeszcze kiedy niekiedy poruszył, jakby chciał wymówić „zobaczę,” w gasnących źrenicach chwilami błyskały mu światełka jakiegoś i po twarzy przebiegały uśmiechy.

Nagle uniósł głowę, fala krwi opłynęła mu policzki, oczy spojrzały przytomniej.

— Mój Chrystus... to On mnie tam zaprowadzi...—powiedział prawie głośno,

I znów mu głowa na poduszki spadła, spojrzał na babkę, która stała jak drętwa, na klęczącą Ludwisię, i powieki zaczęły mu się opuszczać na oczy...

W godzinę przyszedł doktor sprowadzony przez kolegę, ale Adaś już nie żył.

KONIEC.

## Kronika działalności kobiecej.

— W różny sposób służą kobiety na obszarze świata odczuwanej przez wszystkie: „sprawie kobiecej.” Sprawa ta stała się do dziś jednym z motorów poruszających współczesne życie społeczne, jednym z szybkich pulsów bijących w łonie ludzkości. Odczuwa ją dziś już i bierna tureczynka ze swoją niewolniczą zasłoną i wzdycha, bo nie wie co robić a ciężar stosunków ją gniecie, odczuwa ją dla siebie świadomie, każda inteligentna kobieta, która samodzielną pracą wyosobniła się na człowiecze i ekonomiczne stanowisko w ludzkości i obejmuje tę sprawę wszczepiła i wzdułż, widnokreźnie, podstawowo, i zarazem przewrotowo, pewna liczba kobiet stojących u szczytu tej idei nowej, dla której rozwoju i postępu poświęciły swe pióro, wymowę, odwagę, przedsiębiorczość i wytrwałość jaka pionierom na nowych pod nogami gruntach przystoi. Do takich kobiet, należy przez swą długoletnią już działalność: *Marya Szeliga*, polka, zamieszkała od lat wielu w Paryżu. Szeroki pogląd na sprawę, odwaga wypowiedzenia wręcz bez tchórzliwego oglądania się na koterye i partyjki co o tem lub owem powiedzą, żywość słowa, namiętne, prawie, że fanatyczne pragnienie sprawiedliwości dla połowy społeczeństwa ludzkiego uciśnionej, duża znajomość stosunków socyalnych, żarliwe uczucie dla popieranej idei i wytrwałość niezwalczona, uczyniły z p. Szeligi typową rzeczniczkę kobiecego prawa, nie powiem feministką, bo na dziwadła jest za rozumną, ale w każdym razie skrajną ale skrajną szlachetnie, a przytem upartą pionierką na ciężkiej drodze polepszenia naszej niewieściej doli. P. Szeliga widząc, że na polu ustaw prawnych, administracyjnych rozporządzeń, społecznej równości, długie miną lata, zanim kobieta będzie używała swobody i opieki przy całym nakładzie swej pracy i poświęceń, postanowiła usiłowania przenieść jeszcze na nową arenę, z której się ludzi *wzrusza*, *rozzewnia*, *zapala*, *wstrząsa*, i porywa dla swej sprawy. Tą areną jest scena. P. Szeliga założyła w Paryżu „Teatr feministyczny,” poświęcony tylko sztu-

kom, w których sprawa kobiety gra główną rolę i napisanych przez kobiety. Tam mogą one wypowiedzieć swe troski, żale, smutki, uciski, upokorzenia, krzywdy i szarpać sercem słuchaczy tak głęboko, póki się w nich nie obudzi czynne współczucie dla tej walki o godność dziewczyny, żony i matki, sprawiedliwość i ochronę dla ciężkiej pracy. Teatr idzie dobrze, talenta się pojawiają i widzów nie brak.

Z czasem ta scena stać się może istotną trybuną sprawy niewieściej i ogromne oddać usługi, a p. Szelidze słusznie przyznać trzeba będzie że wyborem, psychologicznie obmyślanym pomysłem popchnęła rzecz naprzód daleko. W Paryżu, na tak szerokim świecie, wśród najucywilizowańszych widzów, wśród całej fali najpiękniejszych i najognistszych idei, stoi ta arena kobiecego ruchu i zdaje sprawę z postępu i dojrzałości niewiast i z ich słusznych pragnień ludzkich, ekonomicznych i moralnych. *Marya Szeliga*, ze swemi zdolnościami, wymownem i bezwzględnem słowem, praktycznym sposobem brania się do rzeczy, a wielką znajomością duszy kobiecej i męskiej, pracuje istotnie bardzo pożytecznie i wpływowo dla przyszłych warunków życia naszego. Potrzeba też dużego zaparcia się siebie, aby tak stanąć na froncie, uważać, spostrzegać, wytykać, odpierać, słowem, toczyć ciągle wstępny, zaczepno-odporny bój, w którym wiele jeszcze bywa nieporozumień, zawiązań i dysonansów, za które tych, którzy stoją na czele, oskarżają zarówno przeciwnicy sprawy, jak i ci nawet, dla których dobra się walczy. Przypominają się tu mimowoli słowa poety, że kto chce ludziom służyć, musi o ich sądzie zapomnieć. Na brak uznania jednak p. Szeliga żalić się nie może. I obcy i swoi, widząc tę działalność, muszą jej gruntownie przyznać zasługi i uszanować wytrwałą jej pracę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 5 powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

Nakładem Michała Glücksberga, Wydawcy Bluszczu wyszła z druku książka p. t.

## Z MARZEŃ I ŻYCIA

POEZYJE

SELIMA

(*Władysława Bukowińskiego*).

Cena egzemplarza rs. 1 k. 20, pocztą rs. 1 k. 30. Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

**Treść:** Kosztowne oszczędności, przez Szczęsną (dalszy ciąg).—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. IX.—Na werendzie. (Pogawędka) przez ??—Pierwszy motyl, przez Szczęsną.—Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg).—Notatki z higieny, przez D-r Med. G. Majewską.—Uśmiechy życia. Nowella, przez Aleksandrę Łapińską (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.

**Dotatek obejmuje:** *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkusz 5-ty.—Przegląd mód. 36 wzorów i robót z opisem, Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 5 Мая 1899 г.





Nr 1. Ubranie formą „princesse,” przybrane pliskami i koronkowym kołnierzem.

**Ubranie formą „princesse,” przybrane pliskami i koronkowym kołnierzem.**

Rycina Nr 1.

Ubranie „princesse,” zapięte z tyłu, z pięknej, srebrzystej alpaki, przybrane jest w oryginalny sposób pliskami, zachodzącymi jedna na drugą. Te, naszyte na staniku, tworzą ząb do góry, naszyte zaś na spódnicy — ząb na dół. Pliski na spódnicy pokrywają przyszyte wysokiej falbany. Pliski stanowią też przybranie rękawów. Dopełnieniem przybrania na staniku, jest niezwyklej formy kołnierzyk z białej gipiury, na czarnym, jedwabnym spodzie, zapięty na strassowe guziki, połączone łańcuszkami. Wysoki, stojący kołnierzyk, opasuje biała, gazowa krawatka, związana z przodu na sutą kokardę.

**Suknia spacerowa dla młodej osoby z ciemno-popielatego kaszmiru.**

Rycina Nr 1a.

Spódnica kloszowa, bardzo obcisła w górze, ułożona z tyłu w płaskie dwie fałdy. Stanik „bolero” na jedwabnej podszewce. Kamizelka z plisowanego, jedwabnego, kremowego muślinu. Plecy stanika bez szwu. Wyłogi z białej materii, haftowane tym samym kolorem co i haft na spódnicy i przy staniku.

**Kapelusz dla dziewczynki od 13—14 lat.**

Rycina Nr 2.

Okrągły kapelusz z żółtej słomy, z prostym rondem i główką, zwężającą się ku górze, przybrany jest ponsową wstążką, lekko upiętą wokoło główki i z boku związaną na kokardę. Przy kokardzie przypięty jest pęk kolczastych liści z ponsowymi jagodami.

**Bastowy kapelusz, przybrany makami.**

Rycina Nr 3.

Bardzo noszone są w tym sezonie duże kwiaty, albo drobniejsze, ułożone w pęczki. Pomiędzy innymi maki i hortensje do najmodniejszych należą. Kapelusz z czerwonego bastu, przybiera suty bukiet makówek czer-

wonych do cieniu, związany czarną aksamitką. Rondo kapelusza, podniesione z tyłu, podszyte jest ponsową gazą i z tyłu przytrzymane dwoma „choux” z czarnej aksamitki. Dość wysoka główka denko ma wklęsłe.

**Kapelusz, przybrany fiołkami.**

Rycina Nr 4.

Jasno-popielaty kapelusz z jedwabnego bastu, pokrywa szeroka girlanda z parmeńskich, jasnych fiołków. Pęk takichże kwiatów przypięty z boku w znacznie ciemniejszym jest odcieniu. Rondo z tyłu przytrzymuje „cache-peigne” z zielonych liści.

**Kapelusz dla dziewczynki od 3—4 lat.**

Rycina Nr 5.

Kapelusz z białej, lśniącej słomki, z główką wysoką, nieco nachyloną ku przodowi, wąskie rondo, oszyte ma szeroką, plisowaną falbaną z lekkiej, lecz sztywnej materii jedwabnej. Falbanę tę pokrywa druga, z marszczoną koronki „Alençon.” Upięcie z takichże podwójnych falban, zastępuje kokardę.

**Kapelusz słomkowy, przybrany gazą.**

Rycina Nr 6.

Kapelusz z granatowego bastu, z wysoką główką i rondem odwiniętym bardzo mało z przodu, znacznie więcej z tyłu. Przybranie stanowi krepowana gazą w niebieskim lub popielatym kolorze, bardzo szeroko ucięta, złożona podwójnie, marszczona jak falbana i na bardzo cieniutkich drucikach układana w rieszce. Dwa duże skrzydła, czarne albo białe, przytrzymane granatowym, aksamitnym „choux,” przypięte są w środku pomiędzy rieszkami.

**Kostium spacerowy dla młodej osoby.**

Rycina Nr 7.

Skromny, bardzo dystyngowany kostium, z szarego „covert-coat,” składa się z gładkiej, u dołu stebnowanej spódnicy i ze stanika, zastępującego paltocik. Przód stanika, zapięty z boku na dwie agrafy, przedłuża się za stan w rodzaju szerokiej patki. Z pod patki tej przeciągnięty jest czarny, atlasowy pasek, związany z tyłu na kokardę. Szeroki, wykładany



Nr 1a. Suknia spacerowa dla młodej osoby z ciemno-popielatego kaszmiru. (Przód i plecy).





Nr 2. Kapelusz dla dziewczynki od 13—14 lat.

Nr 3. Bastowy kapelusz, przybrany makówkami.

Nr 5. Kapelusz dla dziewczynki od 3—4 lat.

Nr 6. Kapelusz słomkowy, przybrany gazą.

kołnierzyk i dość duże klapy, wyszyte są czarnym atlasem i otwierają się na białym, płóciennym półkoszulku. Kołnierzyk od półkoszulka podwiązany jest białą, gazową krawatką. Wąskie rękawy przybierają atlasowe, czarne mankiety. Kapelusz upleciony z białej i czarnej słomy, główkę opasaną ma czarną atlasową wstążką. Z przodu przypięta rozeta z białej gazy, a ponad tą duży ptak, o czarnych i białych piórach.

#### Ubranie letnie z fularu z koronkową kamizelką.

Rycina Nr 8.

Ubranie z białego fularu w różowe kwiaty, składa się ze spod-

Nr 4. Kapelusz, przybrany fioletkami.

nicy luźno puszczonej na podszewce i z bluzkowego stanika, przybranego kamizelką z białej gipiury, podłożonej różową materią. Kamizelka wycięta w ząb przy szyi, podłożona jest szmizetką z marszczonej, białej gazy. Przody bluzki zakończone są przy brzegu wązkim obłożeniem z różowej materyi, oraz wykrajanymi wyłogami z takiejże materyi, zastępującymi kołnierz. Na obłożeniu przodów naszyte są stalowe guziki, na wyłogach—riusze z różowej gazy. Pasek z różowej materyi w ząb wycięty, z przodu pokrywają stalowe pailletki. Kapelusz z czarnej, cienkiej słomy, przybiera plisowana, biała gaza, strusie pióra różowe, do cieniu i „cache-peigne“ z białych róż.

#### Strojna okrywka, oraz kapelusz.

Rycina Nr 9. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 45—47).

Strojna ta peleryna z czarnego atlasu, stosowna też i dla osób starszych, naszyta jest dżetami, tworzącymi kratkę. Peleryna, oszyta jest falbaną z plisowanego „taffetas“, ta zaś, przy brzegu, zakończona riuszą z „crêpe-chiffon“, a nadto, cała przykryta drugą falbaną z marszczonej koronki. Przyszyte falbany zakrywa suta riusza z „crêpe chiffon“. Kołnierzyk odstający, wyłożony koronką i przytrzymany riuszą z „crêpe chiffon“. Kołnierzyk spina z przodu duży żabot z koronki, mającej długości 90 a 60 ctm. szerokości i oszytej przy brzegu małą riuszką z „crêpe chiffon“. Bardzo stosowny do tej pelerynki jest płaski kapelusz z materyi, naszytej dżetami. Bok kapelusza podcina kokarda z atlasowej wstążki, egreta z rajskich piór i dowolnie dobrane kwiaty.

#### Płaszcz podróżny, dla starszej osoby.

Rycina Nr 17 i 18. (Krój pierw. str. tab. Nr II, fig. 25—34).

Długi płaszcz, z tyłu nieco wcięty, z przodu luźny, z szarego, dropiatego materiału, zapięty na dwa rzędy odpowiednich rogowych guzików, dopełniony jest peleryną, którą też można nosić oddzielnie. Peleryna oszyta jest u dołu okrągłą krajaną falbaną i przy brzegu przodu, oraz po nad przyszyciem falbany wykończona szerokim szlakiem stebnowki. Płaszcz ten może być wykończony dowolnie na podszewce lub bez. Jedwabna podszewka w kratę, bardzo jest do podobnych płaszczów używana.

#### Krawat i peleryna.

Rycina Nr 19 i 20. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 35—37).

Bogata aplikacja, naśladowująca gałązki i liście z materyi ciemniejszej o cień, pokrywa pelerynkę z jasnoszarego sukna, podłożoną jasną, jedwabną podszewką. Okrągła falbana z tegoż samego sukienka co peleryna, obejmuje dół i przody. Falbana ta podszyta jest drugą, plisowaną, wyciętą w ząbki z materiału podszewki. Suta riusza z tegoż materiału przybiera kołnierz. Wskazana na rycinie Nr 19 krawatka, zrobiona jest z białej w rzucik materyi „pongé“, 20 ctm. szeroka, dowolnie długa, na końcach ucięta skośnie i oszyta piękną valencienką.

#### Kapelusz przybrany bzem, krawatka z gazy.

Rycina Nr 21.

Okrągły kapelusz, upleciony z żółtego i zielonego bastu, przybrany jest wstążką w jasno - zielonym



Nr 7. Kostyum spacerowy dla młodej osoby. Nr 8. Ubranie letnie z fularu z koronkową kamizelką.



kolorze, naszytą z jednej strony wstawką i plisowaniem z takiejże wstążki i szerokim wieńcem z bzu lila do cieniu. Wieniec spięty jest z przodu dużym tułem z liści.

Krawatka ma długości 175 ctm., szerokości 23 ctm. i ten sam deseń na tiulowym obszyciu, jaki się spotyka w prawdziwych koronkach.

**Serwetki na talerze. Robota szydełkowa, na drutach i point-lace.**

Rycina Nr 22 - 24 i 27.

Bardzo modne obecnie ozdobne serwetki, podają się przy lodach, owocach i innym deserze. Robione na szydełku, albo na drutach mniej elegancko wyglądają, aniżeli serwetki oszyte szlakiem robotą point lace. Szlak ten, jak zawsze przy podatnej robocie, przerysuje się naprzód na kalce, tę przyfastrygowywa się do grubego tiulu i podług narysowanego deseni naszywa przedewszystkiem tasiemeczka point-lace.

**Kaftanik z marynarskim kołnierzem, dla dziecka od 2-3 lat.**

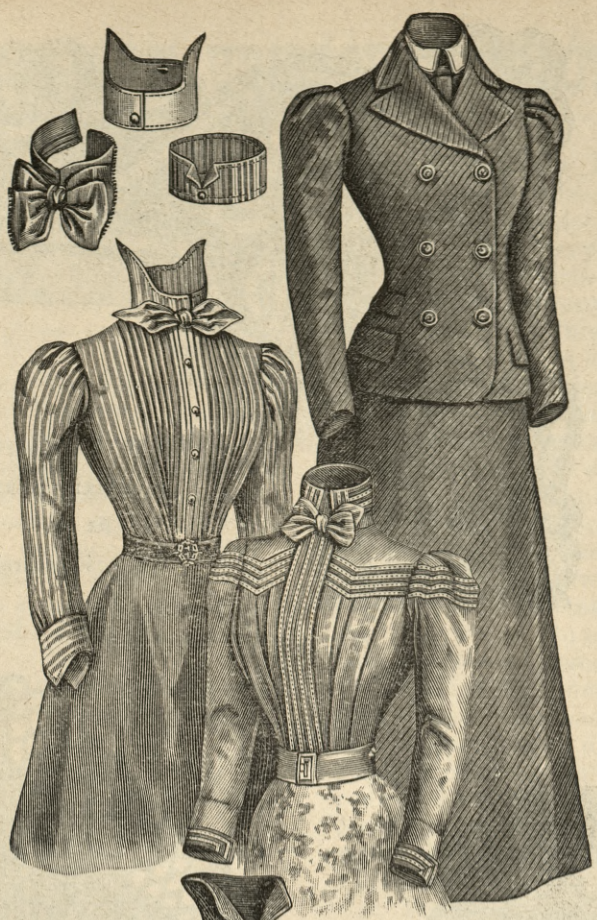
Rycina Nr 25. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 91-96).

Kaftanik z ponsowego szewiotu ślicznie dopełnia duży marynarski kołnierz z angielskiej satyny w dobranym do szewiotu, ponsowym kolorze. Kołnierz zakończony jest szerokim szlakiem z białej piki, naszytej wydatną, białą tasiemeczką. Kołnierz ten jest przypinany i wykończony w ten sposób, że kaftanik i bez niego może być noszony.

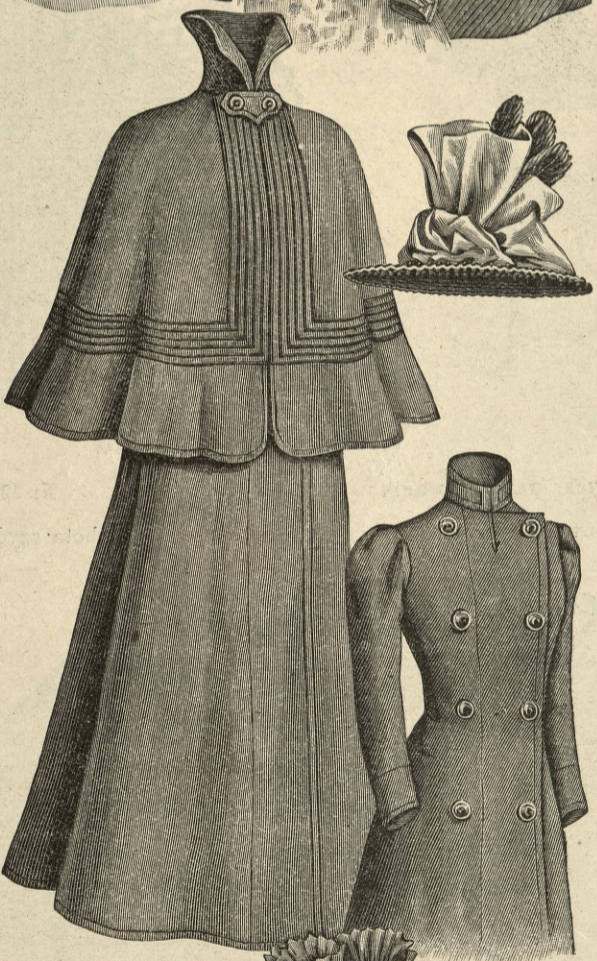
**Gorset higieniczny do kostyumów sportowych.**

Rycina Nr 26. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 102-108).

Z mocnej szarej dymki, krótki, u dołu wycięty w zęby, gorset ten nie kępuje ruchów przy jeździe konnej, wiosłowaniu, lub grze w tenisie. Z przodu zapięty na bryklę, sznurowany z tyłu, na bokach opatrzony jest poprzecznie wszytymi gumowymi taśmami, łatwo poddającymi się przy każdym ruchu. Szelki, na plecach przyszyte mocno, z przodu opatrzone kilkoma dziurkami, mogą być dowolnie, mniej, lub więcej ściągnięte.



Nr 21. Kapelusz przybrany bzem — krawatka z gazy,



Nr 10-16. Kostyum podróżny, bluzki i kołnierze. (Krój pierwsza strona tablicy Nr I, fig. 1-24). Opis w Bluszczu Nr 19

Nr 17 i 18. Płaszcz podróżny dla starszej osoby. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 25-34).

Nr 19 i 20 Krawat i pelerynka. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 35-37).

**Przepisy gospodarskie.**

**ZUPA TATARSKA.**

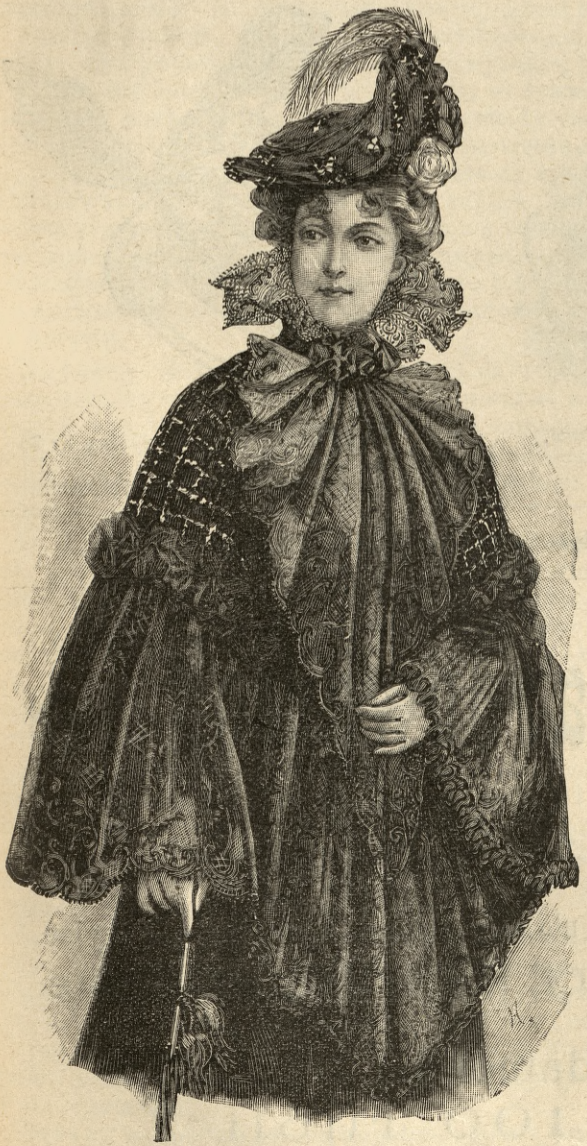
Cztery funty niezdatnych na pieczone kawałków z odkrojoną od polędwicy tłustością, trochę kości, kilka marchwi, pokrajanych w plasterki, trochę zwierzchnich łupin cebuli zasmażyć razem w ogniu. Następnie dolać wody miękkiej, jak na rosół, włoszczyzny, wszelkich korzeni, imbiru, bobkowych liści, trochę grzybów lub pieczarek i gotować parę godzin. Na wydaniu zaprawić dobrą śmietaną, rozbitą z łyżką mąki, zagotować i podać z grzankami, smażonemi w masle, lub z kulkami z ciasta parzonego. Proporcya na dziesięć osób. Zupa ta należy do wyborowych.

**ZRAZY ZE SZCZUPAKA.**

Dużego, oczyszczonego, posolonego szczupaka pokrajać w duże dzwonka. Każde rozplatać, wyjąć grzbiet, odrzucić wszystkie grube ości i powyciągać jaknajwiększą ilość drobniejszych, byleby nie popsuć ryby. Zrobić nadzień z wątróbek rybich, bułki namoczonej w mleku, a potem wyciśniętej, trzech żółtek, jednego całego jaja, łyżki surowego masła, łyżki śmietany, siekanej natki, trochę tartej cebuli, pieprzu i soli do smaku. Tak przygotowane nadzień wymieszać, rozsmarować na każde dzwonko, które należy potem zwinąć, związać grubą bawełną, ułożyć w rondlu i zalać ugotowanym i przecedzonym smakiem z włoszczyzny. Smaku lać nie wiele, dodać łyżkę masła, przykryć i dusić przez godzinę. Po uduszeniu zaprawić mąką, wydając wyjąć każdy zraz łyżką na półmisek, nitkę przeciąć nożyczkami i usunąć, zrazy zgrabnie ułożyć na półmisku, oblać sosem i ubrać smażoną nacią z pietruszki.

**Obiad na Niedzielę.**

- 1. Chłodnik.
- 2. Paszteciki z ryb w muszlach.
- 3. Rosboeuf po angielsku.
- 4. Szparagi.
- 5. Kurczęta z mizeryą.
- 6. Galaretka z wina.



Nr 9 Strojna okrywka, oraz kapelusz. (Krój pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 45-47).

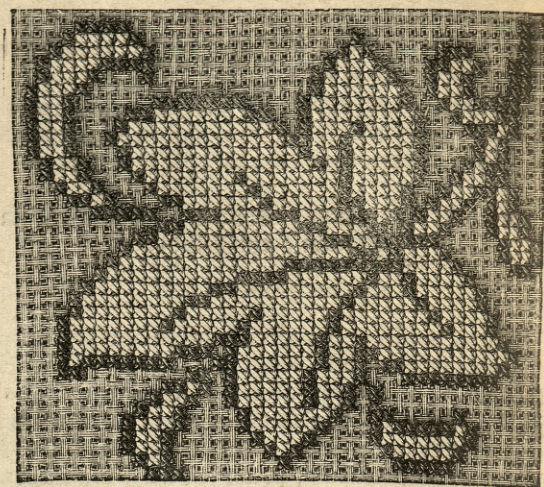




Nr 25. Kaftanik z marynarskim kołnierzem dla dziecka  
od 2—3 lat.  
(Krój odwr. str. tablicy Nr X, fig. 91—96).



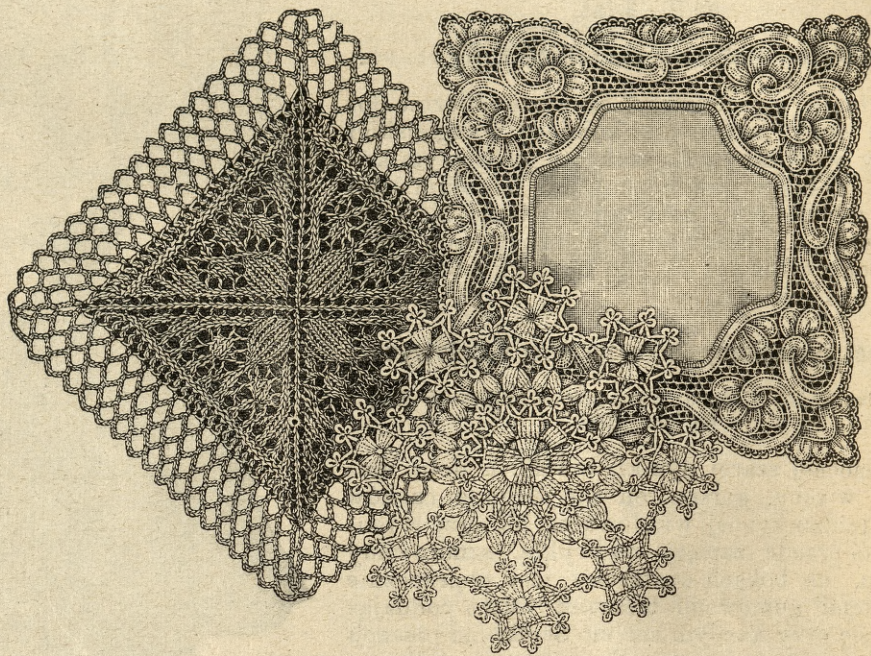
Nr 27. Narożnik do  
serwetki ryciny  
Nr 24.  
Wielkość natural.



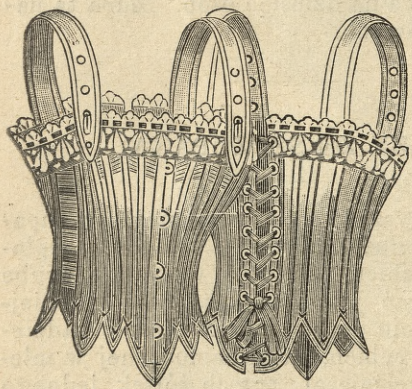
Nr 36. Część haftu do ryciny Nr 33 i 34.  
(Połowa naturalnej wielkości).



Nr 33—35. Serweta, poduszka na krzesło do mebli ogrodowych, oraz parawanik  
od wiatru (do ryc. Nr 29 i 36).  
Deseń pierwsza strona tablicy fig. 53 i odwrotna strona tablicy fig. 114.



Nr 22 — 24. Serwetki na talerze.  
(do ryciny Nr 27).  
Robota szydelkowa, na drutach i „point-lace“.



Nr 26. Gorset higieniczny do kostymów  
sportowych. (Krój odwr. str. tab. Nr XII,  
fig. 102—108).



Nr 30—32. Przybory podróżne dla panów, ozdobione łatwym haftem.  
(Deseń pierwsza strona tablicy fig. 54—56).



Nr 29. Część haftu do ryciny Nr 33  
i 34.  
Połowa naturalnej wielkości.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.“

# Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne,  
Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materiały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNA POCZTA FRANCO.

Pończochy  
i  
skarpetki  
czarne  
i fantazyjne.